NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 3 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.**
Prenumeratę przyjmuje W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6, telefon Nr. 507—23, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi. — Ceny ogłoszeń na Królestwo Polskie: za wiersz jednoszpaltowy pod tekstem 50 kop. — na ostatniej stronie i w miejscu specyalnie zastrzeżonem 15 kop. — ogłoszenia zwykłe 10 kop.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. Kraków, 25 września 1915. Nr. 39.

Z walk alpejskich.



Podziemne mieszkania na pozycyi wojsk austro-węgierskich.

Treść numeru: Legiony w Królestwie Polskiem. — Ocalona świątynia. — Polskie archiwum wojenne. — Z życia naszych uchodźców. — Polscy inwalidzi. — Legiony w polu. — Z oswobodzonej Galicyi. — Z ostatnich walk. —

Od Administracyi.

Z numerem niniejszym kończymy III-ci kwartał XII-go roku naszego wydawnictwa. Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy tedy o rychłe nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto prenumeraty nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Do następnego numeru dołączymy dla P. T. Prenumeratorów w Austryi czeki pocztowej Kasy Oszczędności celem ułatwienia im nadsyłania przedpłaty.

Prenumeratę **z Austryi i W. Ks. Poznańskiego** przesyłać należy wprost do **Administracyi** naszego pisma: **Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego (dawniej Nowowiejska) 95** (dom własny).

Prenumerata wynosi już wraz z przesyłką pocztową:

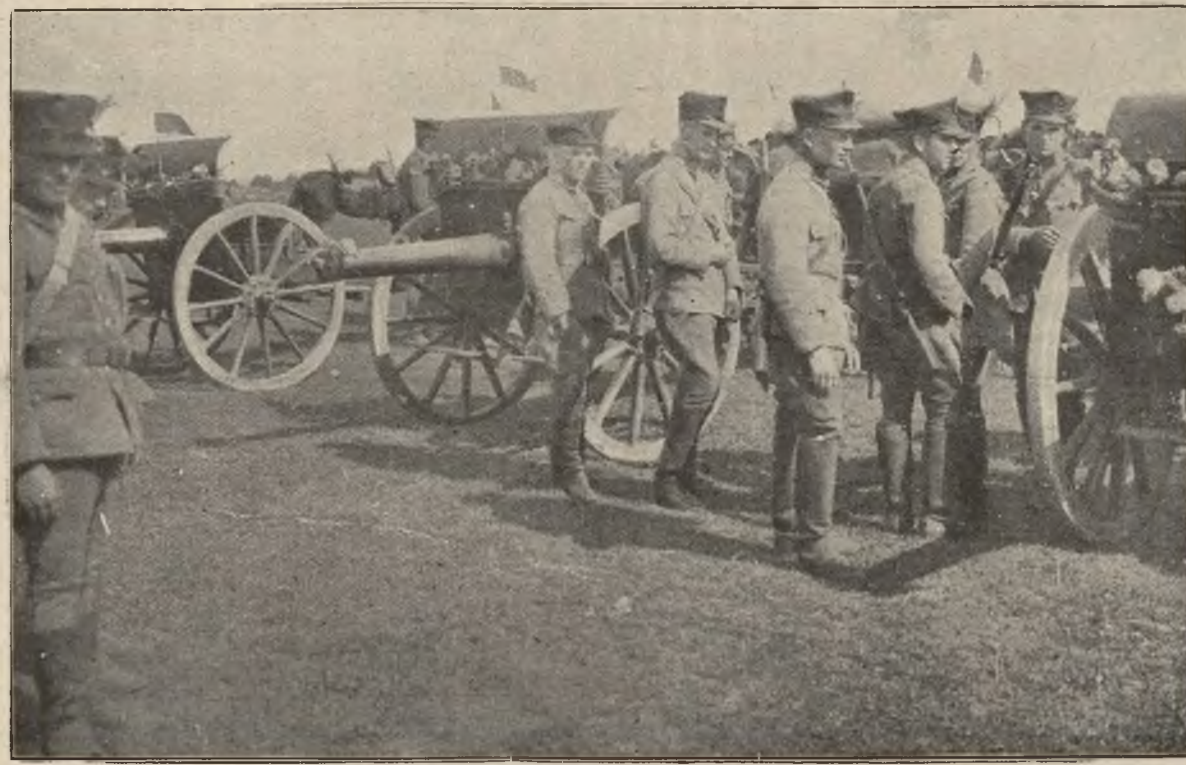
Rocznie	16	koron	17·—	marek
Półrocznie	8	„	8·50	„
Kwartalnie	4	„	4·25	„

Z walk alpejskich.

Olbrzymi tytaniczny bój, który rozgrywa się od kilku miesięcy na ziemiach polskich, sprawił, że niewiele zainteresowania budzą walki na innych terenach. Bardzo szczupłe zwłaszcza wieści podaje prasa z walk na granicy włoskiej. Ale i tam toczą się codziennie zażarte bitwy, ale ze względu na warunki terenowe mają zupełnie inny charakter. Włosi atakują z niezwykłą furyą, ponosząc przytem olbrzymie straty, ale wszystkie ich ataki rozbijają się o silne pozycye wojsk austro-węgierskich. Alpejski teren, umocniony silnemi fortyfikacyami, tworzy niezdobytą twierdzę, o którą rozbijają się czwarty miesiąc wojska włoskie.

Dla zillustrowania tych pozycyjnych, choć bardzo krwawych walk alpejskich, zamieszczamy w dzisiejszym numerze kilka zdjęć z włoskiego terenu wojny.

tucye pomocnicze i humanitarne Legionów. Siedzibą ich jest obecnie Królestwo Polskie, gdzie obok naczelnej komendy powstały liczne szpitale i schroniska dla Legionistów, którzy w walkach stracili zdrowie.



Legiony w Królestwie Polskiem: Trzecia baterya przed wymarszem z Piotrkowa.

Legiony w Królestwie Polskiem.

Choć śmierć na wojnie zbiera obfite żniwo, rosną wciąż szeregi Legionistów. Niedawno pisaliśmy o wyruszeniu w pole „czwartaków“ legionowych — obecnie wyruszył znowu na pole walki szósty pułk Legionów. W dzisiejszym numerze zamieszczamy szereg zdjęć, przedstawiających wymarsz nowego pułku z Piotrkowa.

Im więcej Legionistów walczy z nieprzyjacielem w polu, tem liczniejsze muszą być kadry i insty-

Tutaj znowu wre praca pokojowa w ścisłym związku z miejscową ludnością. O tej pracy daje pojęcie zamieszczona w dzisiejszym numerze illustracya, przedstawiająca szkołę, założoną przez Legionistów w Kamińsku, i nadesłany nam urywek z pamiętnika Legionisty Maryana S., malujący obecne stosunki i działalność Legionistów w Królestwie Polskiem. Pan S. pisze między innemi:

„Nędza w Królestwie straszliwa. Dzieci żebrzą, proszą o kawałek chleba, lub o pieniądze. Zazwyczaj zbiegają się do przejeżdżających pociągów i chara-



Z walk alpejskich: Pozycye austro-węgierskie na pograniczu włoskiem.





Legiony w Królestwie Polskiem:

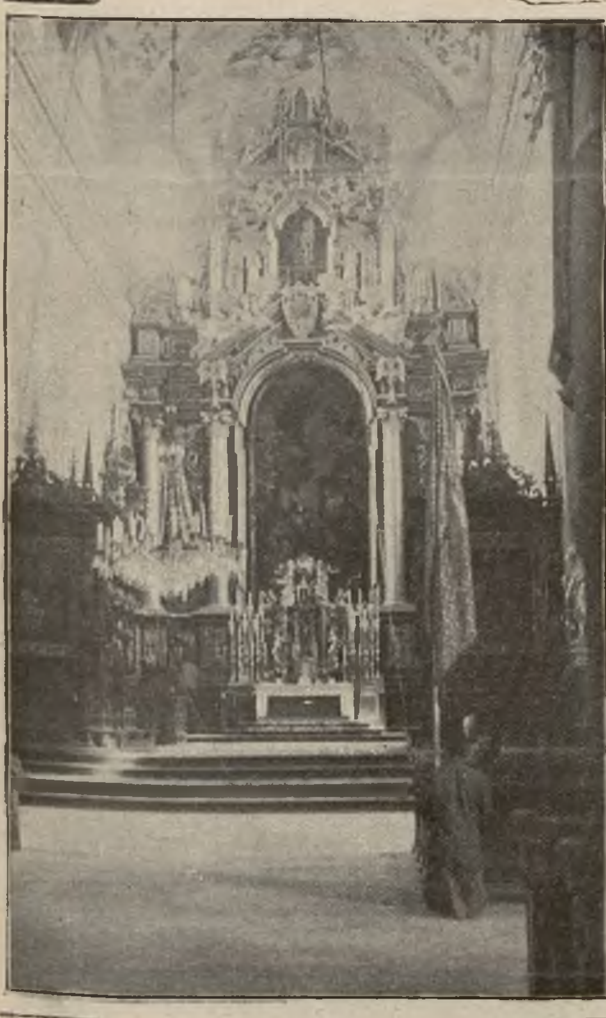
Major Rylski, komendant VI. pułku, który wymaszerował na pole walki

Trzecia baterya, która odeszła z VI. pułkiem na pole walki.

kterystycznem, przeciągłem zdaniem, powtarzającem się na każdej stacyi kolejowej, proszą:

— Panie, niech mi pan da chleba!!

Zdanie to powtarzają bezustanku raz za razem. Straszny obrazek widziałem w Strzemieszycach. Do pociągu, którym jechałem do Kamińska, zbiegła się cała gromada dzieci i poczęła żebrać o kawałek chleba. Miałem w plecaku kawałek ciasta pieczonego z domu, dałem więc kawałek pewnej małej dziewczynce. Tymczasem widząc to jakiś inny chłopak, rzucił się na nią i począł jej wyrywać z ręki kawałek tej bułki. Bili się dość długo, szamotali ze sobą, tak iż wkońcu rozkruszyli całą bułkę, rozerwali w kawałki, które zmieszały się z piaskiem na ziemi. Żal ściskał mi serce na widok tych małych



Ocalona świątynia: Wielki ołtarz w kościele O. O. Bernardynów w Leżajsku

dzieci polskich. Twarzyczki miłe, drobne, ale jakieś smutne, wybladłe.

Do Kamińska zajechałem na godzinę siódmą wieczorem. Stacya kolejowa zupełnie zniszczona, jak wogóle prawie wszystkie stacye na tej linii. Nowo-Radomsk, Zawiercie, Myszków, Poraj oto stacye w straszliwy spósób poniszczone. Kupy gruzów, zgliszcza, popękane i okopcone mury. Obok stacyi kolejowej w Kamińsku znajduje się niewielka osada fabryczna, składająca się z kilku willi, kilkunastu domków murowanych i drewnianych, zgrupowanych obok sławnej na całe Królestwo fabryki giętych mebli. Fabryka ta przedtem była w Lubelskiem, dopiero po spaleniu się przeniesiono ją do Kamińska, gdzie zachowała nazwę dawnej miejscowości, w której się znajdowała, a mianowicie Wojciechów. W fabryce tej urządzono Dom dla rekonwalescentów-Legionistów.



Legiony w Krolestwie Polskiem: Artylerya VI. pułku wyrusza z Piotrkowa na pole walki.

Przy Domu rekonwalescentów zorganizowaną została szkoła dla małych dzieci. Nauczycielami są dwaj Legioniści, którzy uczą dzieci początków pisania, czytania i śpiewu. Uczęszcza do niej przeszło 80 dzieci, w tem 50 chłopców i 30 dziewcząt. Dzieci garną się z ochotą do nauki, uczą się piosenek polskich, myślą po polsku, pierwszy raz od tylu lat niewoli, otwarcie z całego serca śpiewają: „Jeszcze Polska nie zginęła!“



Ocalona świątynia: Uszkodzony granatem kościół i klasztor O. O. Bernardynów w Leżajsku.



Legiony w Królestwie Polskiem: Szkoła, założona przez Legionistów w Kamińsku.



Z walk alpejskich: Z rozkazem na krótszą drogę.

Nie zapomnę nigdy tego, gdy przechodząc raz obok lokalu tej szkółki, usłyszałem młode, wesołe głosiki dzieci polskich, śpiewających ochoczo:

Poczekaj Moskalu,
Ty pogańska duszo,
Maszerują polscy strzelcy,
Na proch cię rozkruszą!

I dalej:

Naprzód w tyraliery,
Kule nas nie straszą,
Będziem walczyć z Moskalami
Za ojczyznę naszą.

A łzy cisnęły mi się do ócz, gdy usłyszałem, z jakiem życiem i dziecinną werwą zaśpiewali głośno, ochoczo, z głębi serca:

Jeszcze Polska nie zginęła
Póki my żyjemy,
Co nam obca przemoc wzięła,
Mocą odbierzemy!!

Wszystkie dzieci mają ze sobą garnuszek i po skończonej nauce udają się przed kuchnię, gdzie wydaje się im pozostałą menaż. Dłuższy czas przypatrywałem się wydawaniu tej „menaży" dzieciom. Stają wszystkie karnie w szeregu i kolejno podchodzą do kotła, podstawiając swój garnuszek, rondel, bańkę, a nawet szalki rosyjskie, do których dostają wielką chochlę kawy, zupy lub czegoś podobnego.



Obrazki wojenne: Dom uszkodzony granatem.

Miłe bardzo dzieciaki, twarze przeważnie ładne, inteligentne, garną się ochoczo do nauki polskiej. Da Bóg, że przyniesie ona wielkie owoce, że nauczy dzieci polskie myśleć, czuć i kochać Polskę i wszystko co polskie całem, gorącem sercem. Rodzice chętnie posyłają dzieci do szkoły, wiedząc dobrze, że cel jej jest święty, czysty, na wskróś polski, że wyrywa ona dzieci z ulicy, oducza żebraniny, odpycha od zła i zgorszenia, a uczy ich poznawać, co jest dobre, szczytne i polskie".

Nie ulega wątpliwości, że opisana z takiem odczuciem w powyższym urywku praca oświatowa i kulturalna Legionistów na zniszczonym przez wojnę terenie Królestwa Polskiego najlepiej zadokumentuje naszą jedność narodową, powinna też znaleźć jak najszersze zastosowanie.



Legiony w Królestwie Polskiem: Grupa oficerów VI. pułku, który wymaszerował z Piotrkowa na pole walki.

JÓZEF LASOŃ.

HEJ, KTO POLAK...

Z CYKLU: NASI UŁANI.

(Obrazek z 1915 roku).

1

Drepcząc w szmacianych pantoflach, stara ciotka, wymyślając na służbę, krzątała się koło obiadu. Dziewczęta, uwijając się koło statków kuchennych, z pod oka obserwowały rozgniewaną panią, która naprzemian wzywając wszystkich Swiętych do ukarania bezbożników, żołnierzy rosyjskich, za wyłapanie i wyrznięcie drobiu, zasypywała służbę stekiem wymyślań.

— O, żebyście, złodzieje, ręce i nogi połamali! Swięty Antoni, ukarz bezbożników! A czemużeś ty szelmo, Franka, czajnik na stole ustawiła z brudnem dnem? Cała serweta zawalana! O święty Michale! Bodaj cię, Magda, pokręciło, żeś mi słoninę przypaliła!

Służba dworska więcej obawiała się starej ciotki, niż samego dziedzica, bo ona opanowała całe gospodarstwo, nie tylko w sprawach kuchennych zabierając głos, ale i sam dziedzic, Czabarski, będąc z nią przez dalekie krewieństwo spowinowacony, ulegał jej we wszystkiem, gdyż nieraz dobrze na jej radzie wychodził.

Nawet stara Tekla, niańka, która dwa pokolenia Czabarskich na swych rękach wypiastowała, stąd wielkiego znaczenia jeszcze za życia żony Czabarskiego zażywała, a będąc swarliwą i kłótliwą, nigdy nikomu w języku nie ustąpiła, a jak służba mówiła, nawet sam dziedzic uciekał przed jej gderaniem, od chwili przybycia ciotki Albiny do dworu, przycichła i milczkiem uchodziła przed rozumem jej i językiem.

Czabarski, po stracie żony, którą nadzwyczaj ubóstwiał, wykonując ostatnie zlecenie nieboszczki, sprowadził ciotkę Albinę do dworu, powierzając jej wychowanie dwóch córek, Jadzi i Olgi, synem zaś, Zbigniewem, sam się zaopiekował.

Tak też pewnego dnia, z kilkunastu kuframi, wypakowanymi samemi sukniami przerozmaitego kroju i gatunku, z dodatkiem dwóch piesków, pinczerów, przyjechała ciotka Albina.

— Pomnąc jedynie na pamięć świętej pamięci Klary, żony waćpana, którą nadzwyczaj kochałam i na te biedne sieroty, przyjechałam, zaznaczam jednakże, że muszę mieć swobodę działania, inaczej żegnam waćpana!

To rzekłszy, dygnęła przed Czabarskim, wyciągając doń rękę na powitanie. Tenże przycisnął suchą, pomarszczoną rękę Albiny do ust i uścisnął serdecznie.

Córeczki Czabarskiego, pokłoniwszy się przed ciotką, nadstawiły buziaki do pocałowania, tylko Zbigniew, w kącie stojąc, bacznie obserwował zapowiedzianą ciotkę Albinę, która, wedle opinii starej niańki, miała być potworem, co zamęczy dzieci, które Tekla wypiastowała. Przypuszczała ona bowiem, że z chwilą przyjazdu ciotki Albiny, o co jej najwięcej chodziło, straci wpływ i znaczenie we dworze.

— No, Zbigniew! — zawołał ojciec — Pokłońże się cioci i przywitaj się, jak na takiego dorosłego kawalera przystało.

Niechętnie zbliżył się Zbigniew, pocałował ciotkę w rękę, nadstawił usta do pocałunku, a odchodząc, szepnął dość głośno, tak, że ciotka i ojciec dosłyszeli:

— Fe! Jaka stara ciotka!

I od tej chwili ciotkę Albinę, zwano we dworze „starą ciotką".

Niańka początkowo usiłowała sprzeciwiać się nowej pani, lecz po energicznem wystąpieniu Albiny, która zażądała usunięcia niańki od kuchni i od dzieci, spokorniała pozornie, nienawidząc ją jednak w głębi duszy.

Zbigniew, podżegany przez niańkę, znęcał się nad pieskami ciotki, robiąc im przeróżne psoty, jednakże po kilkurazowem wygarbowaniu skóry przez energiczną ciotkę zaprzestał figlów, bojąc się dalszych egzekucyi, tembardziej, że skargi przed ojcem nie znajdowały posłuchu, gdyż Czabarski, widząc ład i porządek w dworze, ufał wielce Albinie, we wszystkiem przyznając jej racyę.

Niańka, odsunięta od rządów kuchennych, snuła się całymi dniami po dworze, wzdychając:

— Oj, oj! Toć ani sama dziedziczka tyle nie miała prawa do rządu, jak ten jakiś obijbok.

Pomimo tego, służba dworska szanowała ciotkę Albinę, bo choć na pozór zła i każdemu wadę lub próżniactwo w oczy wytykała, umiała radami swemi w każdym wypadku dopomódz.

Zachorował kto — ciotka Albina już przy nim — zioła warzy, troskliwą opieką otacza.

Dziedzic w każdym wypadku ciotkę na rozmowę zapraszał, chcąc jej rady zasięgnąć, czy to w kwestyi gospodarczej, czy finansowej.

Wpływ i znaczenie ciotki Albiny rosło z każdym dniem, córki dziedzica pod troskliwem jej okiem rozwijały się jak pączki, nawet Zbigniew pozbył się wielu złych nałogów, które pod opieką niańki do niego przylgnęły.

— Bogu dzięki — mówił z zadowoleniem Czabarski — żem ostatniej woli poczciwej mej Klary usłuchał, we dworze wszystko w porządku, jak rzadko.

Lata biegły szybko, Zbigniew, wysłany do szkół za granicę, z odznaczeniem zdał egzamin prawniczy — córki zaś, kształcąc się na pensyi w Warszawie, również z pochwalnemi odznaczeniami, po ukończeniu studyów, wracały do domu.

Płakał ze wzruszenia stary Czabarski, gdy pewnego czerwcowego dnia cała jego dzieciarnia do domu wróciła, a ciotka Albina w dniu tym z kufrów powyciągała najpiękniejsze suknie według jej opinii, ubrała się i na ganku stojąc, długą przemowę do serca siostrzeńca i siostrzenic prawiła.

— — — — — — — — — — — —

Z chwilą wybuchu wojny namawiali sąsiedzi Czabarskiego, aby się z córkami schronił do Warszawy — Zbigniewa zaś pozostawił na gospodarstwie. Gdy się o tem dowiedziała ciotka Albina, czemprędzej pobiegła do salonu dziedzica, od razu pytając:

— Cóż to! Waćpan ucieka z ojcowizny? Na łup wojny chce całe gospodarstwo zostawić, o Jezusie! Cóż to za szelmy waćpana namawiają! Na tom tyle lat tu pracowała, aby waćpan to rzucał! A gdzie posag dla córek? A dyć to ojcowizna! Swięty Antoni! Sama edukacya pannom nie wystarczy. A co będzie, jak wszystko zmarnieje? O ś. p. Klaro, wstań z grobu!...

— A któż tak, panie święty, siostrze nagadał? — trzęsąc się z gniewu przemówił, Czabarski.

— Ho, ho! proszę waćpana! Ja ta wszystko wiem, choć przy tem nie jestem!

— To siostra Albina źle wie!

— A zatem? — z radością spytała Albina.

— A zatem, panie święty, namawiali mnie wprawdzie, abym z córkami do Warszawy wyjechał, gdyż podczas wojny młode panny na wiele przykrości narażone są na takiem bezludziu, jak nasz folwark, bo kto wie, co może jeszcze być — alem, panie święty, odrzekł, że sam nogą nie ruszę z dworu, córki, jak zechcą, wyślę do Warszawy, ale myślę, że pod opieką ojca i drogiej ciotki bezpieczniejsze tu będą, a z dworu chyba wtenczas wyjdę, jak tylko kupa gruzów zostanie! Co, panie święty, ojcowizna — to ojcowizna!

— Bóg zapłać waćpanowi!

— Nie ma za co! — odrzekł wzruszony Czabarski. — Cieszy mię to, że siostra taka czuła, dbała o dzieci i gospodarstwo, i z tej radości chętniebym ucałował poczciwą ciocię Albinę!

To mówiąc, objął głowę Albiny rękami i serdecznie ucałował.

— Co waćpan za szaleństwa wyprawia! — wpół seryo odezwała się ciotka Albina, odrywając przytrzymujące ją ręce. — Jeszcze mnie nigdy żaden mężczyzna nie pocałował. Pfe... zbereżeństwo!

— Cóż to za zbereżeństwo? Przecież my krewni i gdyby nie to... to...

— Tak.. tak... krewni — roześmiała się — ale nie godzi się całować...

— Kogo, panny? — przerwał ironicznie Czabarski.

— Kobiety, proszę waćpana... Kobiety, z którą waćpan ślubem nie jesteś związany... A zresztą — dodała gniewnie — czym stara, czy młoda panna, nie masz się waćpan z czego uśmiechać ironicznie! Waćpan także nie młodzik!

— Ależ, ciotuniu! — łagodnie począł mówić — Palnąłem, panie święty, głupstwo! Język głupstwo, jak ślinę niesie! Chciałem powiedzieć, że gdyby ciocia nic przeciwko temu nie miała, bo z pokrewieństwem da się jakoś załatwić, poprosiłbym... o rękę.

— Co waćpan mówisz?

— Poprosiłbym cioteczkę o rękę! — dobitnie przemówił Czabarski.

— Pfe!... Cóż się waćpanowi stało! Córki, panie dzieju, na wydaniu, synowi trzeba synowicę godną wyszukać, a dziadzio o swojem weselu myśli. O, wyście wszyscy jednacy, wy mężczyźni! Już jedną nogą w grobie, o święty Antoni, a o weselu myśli i żenić się chce, aby mieć żonę-niewolnicę, troskliwą opiekę na starość, aby okłady miał kto pilnie robić, zioła warzyć w chorobie, słuchać zrzędzeń i łajań, boć to, co żona, to żona... Musi wszystko zrobić, słuchać... podczas gdy obca kobieta, dokąd jej dobrze, to siedzi, źle — bierze nogi za pas i wio... w drogę... Źle się waćpan wybrałeś!

— Więc ciotunia odmawia? — strapiony Czabarski wyszeptał.

— He... he... — śmiała się Albina — W starym piecu dyabeł pali, jak mówi przysłowie, waćpan żarty sobie stroisz?

— O nie, Albinko! — pieszczotliwie przemówił — Seryo, panie święty, seryo! Nie młodzik jestem o gorącej krwi, aby się z afektem miłosnym zwrócić. Szanuję cioteczkę, wiem, że dobrą matkę dam dzieciom.

— Otóż i ja na seryo wyćpanowi powiem — poważnie przemówiła Albina, siadając na starej kanapce — niech waćpan zrozumie mnie i niech to będzie ostatnia w tej kwestyi rozmowa! No co? Zgoda?

— Zgoda! — odpowiedział Czabarski.

— Otóż, proszę waćpana, tak jak dzieciom nie potrzebna już opieka matki, bo wyrosły i same zakładać będą ogniska domowe, tak i waćpanowi żona...

— Przepraszam, że przerwę!

— Posłuchaj waćpan, niech dokończę.

Czabarski wydostał z szuflady cygaro, zapalił i z powrotem obok Albiny usiadł.

— Tak też, że dokończę. Ani dzieciom, ani waćpanowi już nie potrzebna...

— O, bardzo proszę!...

— Pozwól waćpan. Panną będąc, miałam i ja swój ideał, lecz o Boże, święty Antoni i ty, Michale!

— Pewnie Antoni lub Michał ideałowi było na imię — mruknął do siebie Czabarski.

— Co waćpan mówisz?

— Nic! Tylko tak westchnąłem!

— Aha! Otóż dwór jego — odetchnąwszy głęboko, poczęła dalej opowiadać — graniczył z dworem mojej przyjaciółki, do której często jeździłam. Stąd też i znajomość i od słowa do słowa, jak zresztą waćpanowi będzie wiadomem, boś mój krewniak, oświadczył się rodzicom, został przyjęty i ślub miał się odbyć niebawem, gdy... wtem...

— Wiem, wiem! Wywieźli go na Sybir!

— Tak, za jakieś należenie do tajnych związków niepodległościowych i tam biedak na suchoty wyzionął ducha... Boże świeć jego duszy!

— Amen! — dokończył Czabarski.

— Kochałam go i przyrzekłam sobie po jego śmierci nigdy nie wyjść za mąż i tego dotrzymam. To jedno, a drugie...

— I ja miałem żonę, jak anioł, a jednak chętniebym cioteczkę poślubił!

— Wierzę, ale trudno! Slubowałam to przed ołtarzem częstochowskim, więc dotrzymać muszę, a powtóre, przecież to wojna sroga się rozogniła i co tam o weselu myśleć, gdy może nam dachu nad głową zabraknąć! Lada chwila zjedzie tu do nas cała halastra żołnierzy i obsiądzie dwór, aby go doszczętnie zniszczyć! Trzeba nam więc o ratunku myśleć, nie o weselu!...

Czabarski podrapał się po resztce włosów, okrywających mu czaszkę, pochylił się przed Albiną, ucałował serdecznie obie ręce i rzekł:

— Wiele prawdy, panie święty, jest w tem i ze wszystkiem się pogodzę, tylko z tem jednem nie, żebym miał z waćpanny zupełnie skwitować. Zżyliśmy się, przywykliśmy do siebie!

— I to prawda! Ale nie czas teraz o tem myśleć!

— Więc jest nadzieja?

— Slubu nie chcę łamać!

— Ale go można ominąć i dla krewniaka ustąpić!

— Nie czas teraz! Nie czas! Zegnam waćpana!

Drepcząc pantoflami, pobiegła do kuchni i za chwilę dał się znów słyszeć jej ostry głos:

— Bój się Boga, Kaśka! O święty Michale! O szelmo, śmietaneś zwarzyła! O bodajcie połamało, Tekla, żeś pierogi na czas nie odsunęła! O święty Antoni!...

(Ciąg dalszy nastąpi).



Polskie archiwum wojenne: Grupa członków zarządu.

Polskie Archiwum Wojenne.

Z początkiem bieżącego roku zawiązał się we Wiedniu Komitet Polskiego Archiwum Wojennego, który postawił sobie za cel gromadzenie pamiątek i dokumentów do sprawy polskiej w obecnej dobie i udziału Polaków w wojnie światowej.

Na czele komitetu stanęli wybitni przedstawiciele nauki polskiej: prof. dr. Oswald Balzer, ksiądz biskup Władysław Bandurski, eksc. dr. Kazimierz Chłędowski, obaj rektorowie uniwersytetów naszych: prof. dr. Kazimierz Kostanecki i prof. dr. Kazimierz Twardowski, sekretarz gen. Akademii Umiejętności, prof. dr. Bolesław Ulanowski. Przewodnictwo zarządu Archiwum spoczęło w rękach dra Władysława Semkowicza, docenta Wszechnicy lwowskiej.

Komitet w ciągu półrocznej pracy zgromadził wcale bogaty zbiór pamiątek i dokumentów wojennych, przeważna jednak ich część pozostaje jeszcze w rękach delegatów i komitetów lokalnych, zakładanych w całej Europie. O ostatecznem przeznaczeniu zbiorów dziś jeszcze trudno mówić, to tylko jest pewnem, że zostaną one złożone w miejscu, które będzie po wojnie głównem ogniskiem kultury i nauki polskiej. Zbiory Polskiego Archiwum Wojennego mieszczą się tymczasowo we Wiedniu, w domu przy I. Wallnerstrasse 1a mezz.

Fotografia nasza przedstawia zarząd Polskiego Archiwum Wojennego z przewodniczącym drem Władysławem Semkowiczem w środku, wiceprezesem prof. Stefanem Vrtelem po jego lewej i drem Janem Bystroniem po prawej stronie. Grupę dopełniają w górnym rzędzie: prof. dr. Leopold Wołowicz, prof. dr. Maryan Janelli, prof. dr. Antoni Cieszyński, prof. dr. Władysław Witwicki, dr. Jan Rutkowski i prof. Mieczyław Kwiatkowski. W dolnym rzędzie po obu stronach prezydyum panie: Ida Wieniewska i Aniela Wolańska, prof. dr. Teodor Nacher i p. Stefan Mękarski.

Z życia naszych uchodźców.

Powrotna fala naszych tułaczy z dniem każdym zdąża w opuszczone przed rokiem strony rodzinne. By normalne życie rozpocząć z rokiem szkolnym, spieszy i młodzież. Części jej udało się uratować rok szkolny, a przynajmniej doprowadzić naukę do egzaminów lub świadectw orjentacyjnych dla uzupełnienia planów w kraju.

W „Szkole pracy“ i na „Kursach gimnazyalnych“, powstałych dla osiedleńców w Przedarulanii, młodzież, zakończywszy owocną pracę w połowie lipca, otrzymała świadectwa z winietą Bregencyi, malownicze miasteczko to bowiem skupiło przy nauce uczniów i uczenice, zamieszkałe w okolicznych miejscowościach w Vorkloster, Rieden, Hard i Lauterach w liczbie 116, w tem 43 na kursach gimnazyalnych.

Grono nauczycielskie, prócz kilku sił miejscowych (dr. Ager, p. Kolb, ksiądz dr. Nessler) stanowili: prof. Ogonowski z Sanoka, prof. Władysław Traunfellner (kierownik kursów gimnazyalnych) z Sambora, ksiądz Stanisław Hertmann z Sokala, p. Widuch z Ustrzyk, p. Połys, p. Klusówna ze Lwowa, p. Brzozowski z Rohatyna i p. Marya Piechocka, organizatorka tych zakładów, z Krakowa.



Z życia polskich uchodźców: Starościna Bregencyi, hr. Marya Thun-Hohenstein, w polskiej „Szkole pracy“.

Pani hr. Marya Thun-Hohenstein, starościna Bregencyi, objęła instrukcyę robót dla Czerwonego Krzyża w „Szkole pracy“, a siostra Elżbieta Vogt, Dominikanka, w Instytucie Marienberg szkółkę ogrodniczą w dawnej willi hr. Raczyńskich, gdzie młodzież nasza uprawiła 312 m. kw. parku na ogród warzywny.



Z życia polskich uchodźców: Grono nauczycielskie i młodzież „Polskiej szkoły pracy“ i kursów gimnazyalnych w Bregencyi.



Z życia polskich uchodźców: Ksiądz biskup dr. Zygmunt Weitz, prezes komitetu opiekuńczego dla polskich wychodźców w Przedarulanii.



Z oswobodzonej Galicyi: Most na Sanie koło Pniowa, zbudowany przez austryackich pionierów. Na brzegu widać rosyjskie rowy strzeleckie.

Miasto Rorschach w Szwajcaryi przez ofiarowanie ośmiu cetnarów materyi, bielizny, ubrań, obuwia i innych przedmiotów, ułatwiło istnienie „Szkole pracy“, która po wydatnem zaopatrzeniu kilkuset rodzin kolonistów w miejscu i okolicy, była w stanie kilkunastoma pięciokilogramowemi paczkami własnej pracy wytwórczej i inwentarskiej obdarować komitety zapomogowe w Krakowie, Białej i Wiedniu.

Naukę teoretyczną języków, hygieny, buchalteryi uzupełniały dla uczenic praktyczne kursa cerowania, łatania, modniarstwo, prasowanie, koronkarstwo, to ostatnie pod kierunkiem p. Liny Traunfellnerowej, laureatki kursów Ligi pomocy przemysłowej we Lwowie. Kartoniarstwo i szewstwo łączyło przy pracy panienki i chłopców. Wyłącznie dla uczniów warsztat stolarski prowadzili: p. Dobrzański i Kwaśniak, a po wezwaniu ich do objęcia służby kolejowej p. Piotr Traunfellner, substytut notaryalny z Ustrzyk. P. Julii Widuchowy zawdzięcza „Szkoła pracy“ znakomicie prowadzoną naukę śpiewu, p. Ritter, Niemce, kurs koszykarstwa. Nauka, z wyjątkiem kursów szewstwa (p. Jan Müller, majster z Bregencyi) była bezinteresowną, a ofiarność członków grona nauczycielskiego pozwoliła zakładom Bregencyi rozwijać się nawet w ciężkich chwilach mobilizacyi przed wojną włoską, kiedy to po skasowaniu wielu pociągów, profesorowie Ogonowski i Traunfellner, zamieszkali o dziesięć kilometrów w Dornbirn, nawet pieszo odbywali drogę do Bregencyi, by kursów gimnazyalnych nie pozbawić kwalifikowanych sił polskich.



Z życia polskich uchodźców: Uczenice polskiej „Szkoły pracy“ w Bregencyi uprawiają ogród warzywny w parku Marienberg, posiadłości zakładu wychowawczego S. S. Dominikanek.

Umieszczenie także bezpłatne znalazła „Szkoła pracy“ w domu katolickich robotników, tak zwanym „Gesellenhaus“, korzystając z gościnności prezesa ks. Wippera. Miejscowy „Cecilienverein“ użyczył fortepianu dla użytku chórów i na uroczystości narodowe, obchodzone w poufnem kole członków i przyjaciół „Szkoły pracy“.

Stałą życzliwość okazywał naszej młodzieży „Komitet opiekuńczy dla wychodźców w Przedarulanii“, złożony z ks. dr. Zygmunta Weitza, biskupa Feldkirch, starosty hr. Thuna i jego małżonki, radcy dworu Gebharda Baldaufa, inspektora szkolnego dr. Adama Gałeckiego, oraz delegatów nauczycielstwa, osiadłego w Bregencyi. Prócz „Koła pedagogicznego“ pracującego na kilku zjazdach dla spraw miejscowych Vorarlbergu „Szkoła pracy“ i „Kursa gimnazyalne“ wysłały przedstawicieli na Zjazd centralnych komitetów dla wychodźców krajów alpejskich do Salcburga, oraz sprawozdanie na Zjazd Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych do Wiednia.

Zbiory i okazy robót uczniów, przeznaczone dla



Z oswobodzonej Galicyi: Most pontonowy na Sanie koło Pniowa. W głębi widać most, który budowali Rosyanie.



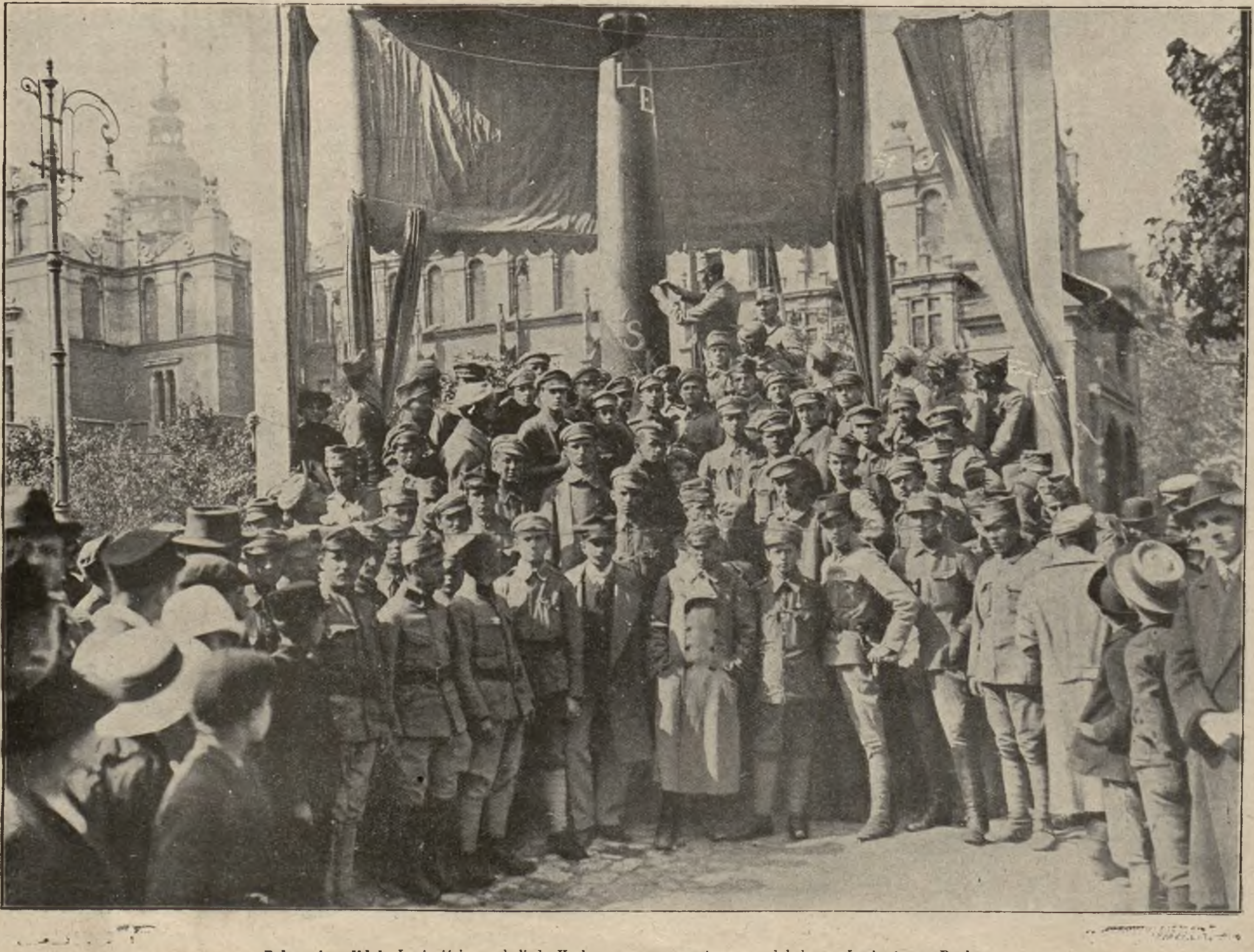
Z oswobodzonej Galicyi: Dom burmistrza w Gródku Jagiellońskim z rowem strzeleckim.



Polscy inwalidzi: Transport Legionistów, przybyłych do Krakowa na superrewizyę. (X) Porucznik Wąsowicz, komendant transportu.

polskiego archiwum wojennego, wraz z pokaźną jeszcze pozostałością zasobów „Szkoła pracy“ z Bregencyi przenosi do kraju, by wyposażyć swym dorobkiem zakłady, które najwięcej ucierpiały w czasie wojny. Jeden z wniosków na konferencyi wśród powszechnego uznania przemówił za Przemyślem.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy szereg zdjęć ze „Szkoły pracy“ i życia Polonii w Bregencyi.



Polscy inwalidzi: Legioniści, przybyli do Krakowa na superrewizyę, przed kolumną Legionów na Rynku.

Polscy inwalidzi.

Dwa wyrazy tylko — a cały tragizm nasz zawarty w nich: otośmy w walkę o wolność kwiat młodzieży naszej wysłali, a wrócili oni ...inwalidami. Tacy młodzi, a już inwalidzi! Choć i to — Bogu nie wypominać, bo Bogu chwała, że wrócili, że nie zostali tam, skąd się już nie wraca...

Wrocili... inwalidami. Zwykła to kolej wojny i los żołnierza. A jednak u naszych Legionistów



Legiony w polu: Oddział telefoniczny w Bessarabii.

boleśniejszem to słowo tętni echem, bo młodzieniaszek to jeden i drugi, a na całe życie może pozostanie mu ta laska w ręce, lub choćby tylko zrujnowane zdrowie.

Gdyby ta martwa klisza fotograficzna usta miała, przemówiłaby ona do tych, co na jej odbitkę w gazecie patrzą i niczego się nie dopatrzyli — przemówiłaby całą setką ust, jak stu ich tam jest naszych drogich inwalidów młodocianych. Przemówiłaby o ich kalectwie: nogach amputowanych, kolanach o wyjętem jabłku, łokciach przestrzelonych — o ich ranach, już nieco zabliźnionych — i o kuli wroga, co im całe ciało przeorała — o reumatyzmach i odmrożeniach, tym nowoczesnym nabytku kampanii zimowej. Oto ich wszystkich na fotografii macie. Z oczu ich zwątpienie nie patrzy, ani rozpacz — choć w niejednej piersi tkwi kula nie wyjęta i życie wisi nieraz na włosku.



Legiony w polu: W oczekiwaniu przyjazdu arcyksięcia Fryderyka. Na froncie porucznik T. Stożek i kapitan Brunner. W głębi sierżant sztabowy M. Hupczyc.

Twardy mus ich tu przygnał, by stanąć przed c. i k. komisyją superarbitracyjną, okazać jej swoje rany i odejść... z książeczką inwalidy i pensyą kilkuset koron rocznie dożywotnie. Twardy mus, któremu na imię niemoc, bo gdyby nie ona, szliby dalej w urok rowów strzeleckich, co tak ciągnie magnesem jakimś ku sobie. Ot, i jeden z tej szarej rzeszy, prawie że bezimienny, bo cóż może mówić nazwisko „Jan Mruk“ — a Mruk bohater przeszedł Węgry i Pokucie z drugą brygadą, nogi sobie odmroził, dwa palce u stóp postradał, świadectwo zwolnienia w Marmarosz Sziget uzyskał u takiejże samej komisyi superrewizyjnej i... poszedł do brygady Piłsudskiego po nowe rany, po kulę, która go zrobiła kompletnym już inwalidą i przywiodła tu po ostateczne zwolnienie.

A Mruków takich setki całe. Cześć im i pamięć niewygasła ich bohaterska otoczy te tragiczne laski, na których wspierać się będą do końca swego żywota polscy inwalidzi.

Władysław Wąsowicz, podpor. Leg. Polskich.

„Koncert dzieci“.

Piękny wieczór, który w tych ciężkich wojennych czasach przeniósł słuchaczy w zaczarowaną krainę baśni, dały w ubiegłym tygodniu dzieci z Zakopanego swoim koncertem, urządzonym pod prote-



Z ostatnich walk: Żołnierze austryaccy przy wspólnym grobie poległych Rosyan.



„Koncert dzieci“: „Taniec kwiatów“. (Fot. L. Faden).
Motyl. Złoty chrząszcz. Róża i tulipan. Żabka. Wróżka.

ktoratem J. E. jenerałowej Kukowej w krakowskim teatrze. Wróżką tego fantastycznego widowiska był



„Koncert dzieci“: „Taniec kwiatów“. (Fot. L. Faden).

p. Trojanowski. Pod jego kierownictwem zorganizowany został ten zespół młodych sił przy pomocy pianistki p. Aleksandrowiczowej i kompozytora Starczewskiego, którzy przysposobili dziatwę do popisów muzycznych i wokalnych. P. Trojanowski, z zawodu architekt, urządził rzecz całą po swojemu. Na początek — niby od frontu gmach — postawił szereg uroczych śpiewających kolumn, t. j. chór dzieci symetrycznie w jednej linii ustawionych, bez dyrygenta, tylko z akompaniamentem fortepianu w tyle, który czynił wrażenie organów ukrytych za filarami. Następował potem koncert fortepianowy solo, a zaraz potem pląsy rytmiczne dziewczynek, niby dalsza architektura gmachu, wsparta, jak muzyka, na stosunkach liczb i rytmu, splatająca się w harmonijne proporcye i ornamentalne arabeski wokoło gmachu, na którego frontonie ukazał się fryz złożony z zachwycających tańców Halusi Anitry, tchnących czarem wiosennej poezyi.

Na zakończenie usłyszeliśmy i ujrzeliśmy orkiestrę symfoniczną, pełną dziecinnych instrumentów i niespodzianek, ozdoby już czysto dowolne, pomysły szalone i kapryśne o motywach roślinno-zwierzęcych, jakie spotykamy w groteskowych ornamentacyach średniowiecza, które swem zbliżeniem do natury zdają się przypominać, że wszelka sztuka pochodzi z głębi lasów. Była to bowiem symfonia leśna. Cała ta część pierwsza stanowiła jakby wstęp,

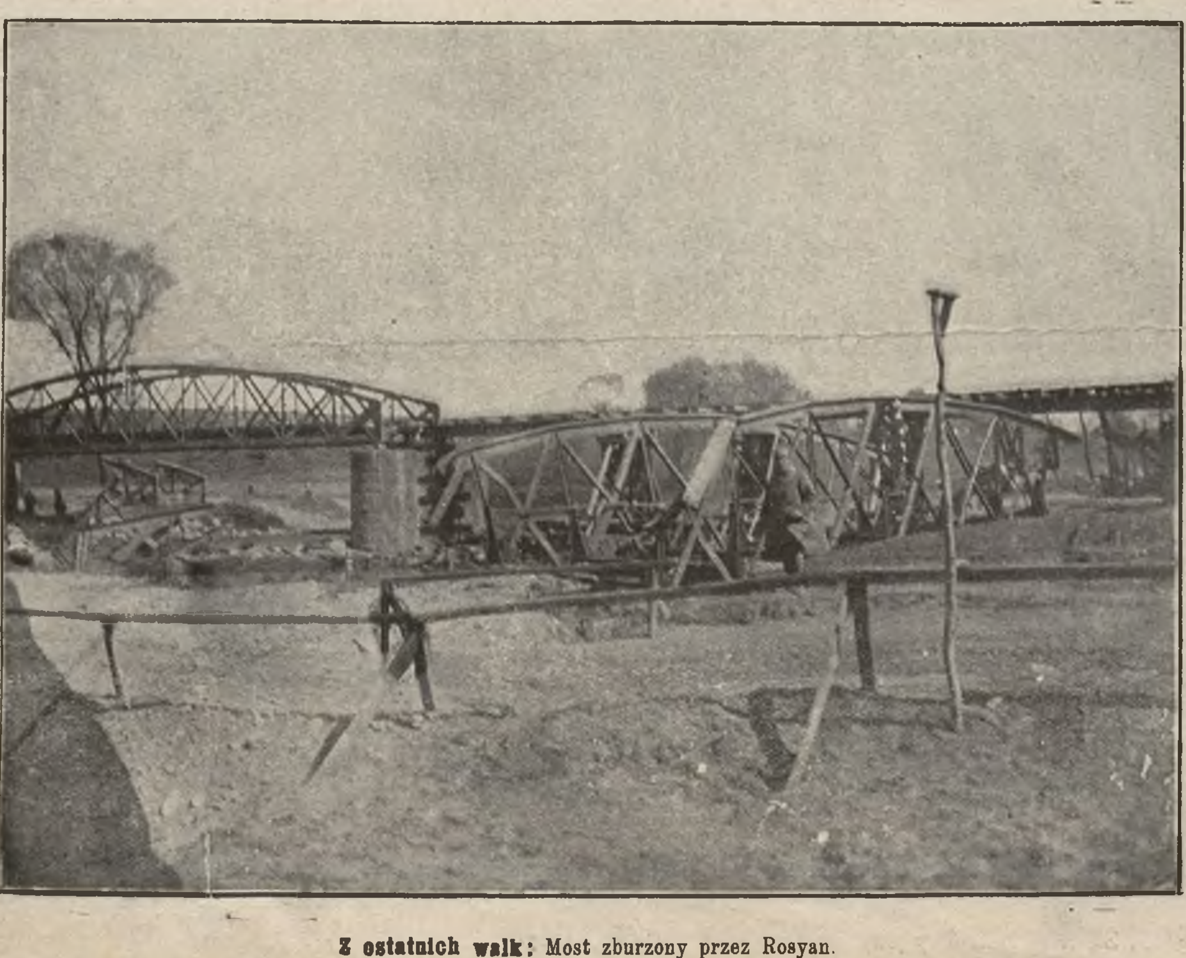


Z oswobodzonej Galicyi: Kościół w Miechocinie pod Tarnobrzegiem po pożarze, wznieconym przez armatnie pociski.

uwerturę do głównej części — do symbolicznej akcyi p. t. „Taniec kwiatów“. Oto wróżka-marzenie zwołuje w noc letnią wszystkie kwiaty, które wicher zerwał, lub nieczuła zdeptała stopa, na uroczystość wskrzeszenia, na radosne święto, gdy wśród polany leśnej srebrna rosa padać będzie, gdy zlecą się różne chrabąszcze, biedronki, boże krówki, a czarodziejski motyl ukaże się w tańcu pocałunków, składanych na ustach kwiatów, — aż świt nadejdzie i czar marzenia pryśnie.

Takim był ten wieczór dziecięcy — nielada zabawa i dla starszych dzieci.

Osobną baśń tęczową, która zachwycała oczy, stworzył p. Zb. Pronaszko w swoich kostyumach do opery, wykonanych z wielką znajomością rzeczy pod kierunkiem p. Leopolda Fadena.



Z ostatnich walk: Most zburzony przez Rosyan.

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego MARYA SEGENY.

11

— Znowu ten szpicel — mruknął przez zęby. — Żebym ja cię mógł dostać w ręce, zanim mówić zaczniesz.

Barykada niepotrzebnie się obawiał. Drżący i onieśmielony ten świadek, nie mógł być groźnym dla niego przeciwnikiem. Delrue dawał niejasne, niepewne odpowiedzi, widocznem było, że lęka się odkryć prawdę. Apasz popatrzył na niego z pogardą i splunął przez zęby, mrucząc:

— To jeszcze mniej niż szpicel!

Tak jak i Henryk, nie chciał się zgodzić na oglądanie ciała Kudłacza w mordze i wyszedł ze sali blady, bliski omdlenia.

Henryk czekał na niego na korytarzu.

— Poszedłem za twoją radą — rzekł, przystępując do niego — i nie poznałem Barykady. Było to może nierozsądne, ale nie mogłem jakoś inaczej uczynić. Niech wpadnie w inne ręce!

Delrue odetchnął całą piersią! No, przecież minęła ta straszna, niepokojąca chwila i tak szczęśliwie dla niego. Teraz już nie obawiał się niczego!

Poszukiwanie.

Henryk de Kermor popadł znowu w dawną apatyę i milczenie. Powiedział sobie, że poślubi Sydonię de Bressien, i zdawało się, że zupełnie zapomniał o Janinie le Brenn. Jednakże ilekroć usiłował myśli swoje zwrócić ku swojej narzeczonej, kuszący obraz małej Bretonki stawał przed oczami jego duszy, burząc wszelkie rozważne postanowienia. Stan ten stawał się dla niego tak męczący, iż obawiał się, że oszaleje.

Jednego wieczoru, silniej zdenerwowany niż zazwyczaj, nie mogąc opanować wzburzonych nerwów, znalazł się w gabinecie Andrzeja Delrue.

— Oh! co za niespodzianka, Henryku — zawołał tenże z udaną radością, przystępując do niego. — Cóż cię do mnie sprowadza o tej porze?

— Andrzeju — wybuchnął Henryk, rzucając się bezsilnie na kanapę. — Możesz się ze mnie śmiać, pogardzać, ale ja tak dalej żyć nie mogę.

— Rozumiem cię! Chcesz zobaczyć Janinę le Brenn — podsunął Andrzej, zadowolony z tej nowej zmiany, zaszłej w młodym człowieku.

— Andrzeju! Co ty myślisz o mnie! Masz mnie za człowieka bez charakteru i woli, nieprawdaż?

— Nie, mój drogi, rozumiem cię doskonale, bo niestety dzięki tej samej kobiecie, przechodziłem przez to samo. Ale powiedz mi, Henryku, czy masz jakie dalsze zamiary co do niej? Ostrzegam cię, że w przededniu twojego małżeństwa, kaprys taki skompromitować cię może w oczach twojej narzeczonej.

— Źle mnie rozumiesz, Andrzeju. Nie mam już żadnych zamiarów co do Janiny le Brenn. Nawet mówić z nią nie chcę, rozumiesz. Chcę ją widzieć, oto wszystko.

— W nowem otoczeniu, w jakiem się obecnie znajduje, aby się na własne oczy przekonać, że dawna skromna robotnica zamieniła się w sławną awanturnicę paryską.

— Andrzeju!

— Dosyć tego, mój drogi! Twoja niewiara we mnie zaczyna mnie drażnić naprawdę. Owszem, uczynię tak, że ją zobaczysz. Pani Wiktorya jest bardzo sympatyczna i gościnna osoba. Wydaje często wieczorki tańcujące, maskarady. Możesz wszystko widzieć, nie będąc widzianym. Zdaje mi się, że tego sobie życzyłeś?

— Nie mylisz się — szepnął Henryk. — Chcę widzieć, chcę napełnić swe oczy i duszę obrazem jej hańby, a może wtedy nareszcie zdołam zapomnieć.

— Jeżeli więc ma to być dla ciebie środkiem leczniczym, zgadzam się chętnie, chociaż niebardzo sympatyczną rolę dajesz mi do odegrania. W każdym razie rzecz postanowiona. Postaram się o dwa zaproszenia na najbliższy bal maskowy i ujrzysz to, co zechcesz.

— Przyrzekasz mi to, Andrzeju?

— Tak, przyrzekam, możesz liczyć na mnie. Chcę cię bowiem przekonać, że masz we mnie życzliwego i oddanego ci przyjaciela.

Uścisnąwszy gorąco dłoń Andrzeja, Henryk, cokolwiek uspokojony, powrócił do siebie.

— — — — — — — — — — — —

Markiza de Kermor przeżywała od dłuższego czasu ciężkie chwile. Nie mogła już obecnie sprzeciwiać się woli syna, okazanej w sposób tak stanowczy i wyraźny, nie umiejąc wynaleźć dość poważnej przeszkody, którąby opóźniła przynajmniej niepożądane przez nią małżeństwo. Ale równocześnie dusza jej i sumienie buntowały się przed tem szaleństwem i uporem syna, w którym przeczuwała rozpaczliwe jakieś zmaganie się jego, mogące doprowadzić go do jakiegoś ostatecznego kroku. Pomału, zapomocą bystrej obserwacyi i przeczulonej intuicyi odgadła dręczącą ją dotąd tajemnicę, ukrywaną tak starannie przez Henryka. Ale sposobu na usunięcie jej nie znalazła jeszcze. Trzeba było na to zbadać do głębi zagadkowego i zawsze ostrożnego Andrzeja Delrue, lub też odnaleźć Janinę le Brenn.

Na dawnem mieszkaniu młodej dziewczyny nie znano jej prawie, a dozorczyni, która tylko raz ją widziała przy wynajmowaniu pokoiku, nie wiele mogła powiedzieć ponad to, że jednego ranka lokatorka jej wyszła z mieszkania i nie powróciła więcej. Markiza nie wiedziała jednak, że zanim ona zaczęła czynić poszukiwania, Delrue poufnie rozmawiał już z dozorczynią i opłacił ją sowicie. A przytem markiza, zajęta dotąd przy chorym synu, nie mogła pomimowoli czynić dalszych starań w kierunku odnalezienia zaginionej.

Skorzystała jednak zaraz z pierwszego wydalenia się Henryka z pałacu i skromnie ubrana, aby nie zwracać na siebie uwagi, udała się do dzielnicy Belleville. Tam zapytała pierwszego napotkanego policyanta o adres najbliższego posługacza ulicznego.

— Proszę iść prosto ulicą St. Maur aż do szynku „pod trzema gwiazdami“. Zapyta pani o ojca Jakóba, mieszka w tym samym domu — brzmiała odpowiedź.

Markiza oddalała się już, gdy wstrzymał ją głos policyanta:

— Zapomniałem pani powiedzieć, że biedak leży chory. Potłukł się dość poważnie jeszcze w tamtym tygodniu przy wynoszeniu fortepianu. Nie wiem więc, czy pani będzie mogła się nim posłużyć.

Markiza skinąwszy głową, zwróciła się w ulicę St. Maur i za chwilę wchodziła do wskazanej szynkowni, gdzie już dawniej poszukiwano starego posługacza.

— Chciałabym widzieć się z Jakóbem posługaczem — rzekła, stając na progu.

— Jeżeli chodzi o posyłkę, to nic z tego nie będzie — odpowiedział właściciel, stojący za ladą. — Leży chory.

— Wiem o tem, ale przychodzę w innej sprawie.

— Proszę w takim razie udać się do pierwszego parterowego mieszkania w dziedzińcu. Ot ten, prosto. Niech go pani namówi, żeby się dał zawieźć do szpitala, bo coś z nim jest nie dobrze.

Markiza udała się w wskazanym kierunku i zapukała do drzwi; otworzyła jej starsza kobieta o poczciwym, dobrodusznym wyglądzie.

— Myślałam, że to lekarz, którego oczekuję — rzekła, patrząc ze zdziwieniem na markizę.

Wnętrze mieszkania charakteryzuje zazwyczaj osoby je zajmujące. Pokój, do którego weszła markiza, lśnił się od czystości. Nigdzie ani śladu nieładu. Panowała w nim przyjemna atmosfera, wskazująca, że mieszkają tu ludzie biedni, ale uczciwi i pracowici.

— Czy tu mieszka posługacz Jakób? — zapytała markiza kobiety.

— Tak jest — odpowiedziała — ale właśnie leży chory już drugi tydzień. Czy pani miała dla niego jakie zlecenie?

Mówiąc to, podsunęła pani de Kermor czyste, drewniane krzesełko.

— Przychodzę was prosić o pewną przysługę, za wyświadczenie której będę wam bardzo wdzięczna, moja dobra kobieto — rzekła markiza siadając.

— Ja mogłabym pani wyświadczyć przysługę? — zdziwiła się kobieta.

— Tak jest, wy, a właściwie wasz mąż, który mógł już to uczynić, ale widocznie nie chciał.

— Oh! w takim razie niema o czem mówić, moja pani, skoro on nie chciał...

— Zechciejcie mnie posłuchać. Zwracam się do was, jako do uczciwej kobiety i matki z prośbą o dopomożenie mi w pewnej sprawie...

— Oho! — pomyślała Jakóbowa. — Chce odemnie wyciągnąć trochę pieniędzy, ale to się na nic nie zda, bo sama nic nie mam.

— Moja pani — zaczęła zmieszana — ja doprawdy nic nie mogę uczynić. Jesteśmy sami biedni ludzie.

Markiza uśmiechnęła się lekko.

— Nie o to chodzi, przeciwnie, przysługi sobie oddane zwykłam opłacać, przekonacie się wkrótce o tem, a jak widzę, pewna pomoc przydałaby się wam.

— Nie rozumiem pani.

— Oto sakiewka z pieniędzmi, która nie należy do mnie, a za oddanie której właścicielce ofiaruję większą sumę.

— Więc te pieniądze nie są własnością pani?

— Nie, ale uspokójcie się, nie wzięłam ich bezprawnie.

— Domyślam się tego. Wygląda pani na uczciwą osobę. A więc pani sądzi, że ja, albo mój mąż znamy prawdziwą właścicielkę tej sakiewki?

— Tak. Jest nią młoda dziewczyna, która pracowała u mnie przy ulicy Beotic. Mieszkała w waszej dzielnicy i jestem przekonaną, że mąż wasz wie, gdzie się ona znajduje obecnie.

— A dlaczego to, proszę pani?

— Bo to on musiał jej dopomódz przy przeprowadzaniu się.

— Jak się nazywała ta osoba?

— Janina le Brenn.

— A pani kto jest, jeśli śmiem zapytać?

— Jestem markizą de Kermor, a Janina była u mnie robotnicą. Opiekowałam się nią, ponieważ pochodziła z moich stron rodzinnych i polubiłam ją bardzo.

Żona posługacza powstała na te słowa, zmieszana i zaniepokojona. Pierwszy raz w życiu witała pod swoim ubogim dachem tak wysoko urodzoną osobistość. Stanęła przed markizą w postawie pełnej uszanowania, jednakże na twarzy jej odbiło się pewne niedowierzanie.

Zapytywała się w duchu, czy to wszystko mogło być prawdą.

— Więc ta dziewczyna opuściła panią? — zapytała po chwili.

— Tak jest. Zniknęła nagle bez ostrzeżenia mnie. Przeczytajcie ten list, pozostawiony przez nią, on was trochę objaśni.

Zaufanie okazane przez markizę zmieszało do reszty starą kobietę. Wzięła list do ręki i drżącemi ustami odczytywała go z trudem.

— Ta mała musiała mieć ważne powody, aby tak postąpić — oświadczyła wkońcu.

— I ja tak sądzę. Ale niepotrzebnie pozostawiła mi swoje pieniądze, skoro jest biedną robotnicą, a one stanowią cały jej majątek.

— Ma pani słuszność. Jakże więc zrobimy?

— Weźmiecie tę sakiewkę i ten banknot stufrankowy za waszą fatygę; oddacie pieniądze Janinie le Brenn i powiecie jej, że markiza de Kermor pragnie ją widzieć. Jeżeli nie chce pokazać się w moim pałacyku przy ulicy Beotic, to niech przyjdzie do kościoła św. Filipa w wiadomych jej godzinach. Powiedźcie jej, że nie powinna odmawiać tej prośbie, jeżeli zachowała w sercu swojem choć trochę wdzięczności dla dawnej opiekunki.

— Ależ ja nie znam adresu jej mieszkania — broniła się słabo kobieta — a przytem sto franków to zawiele za taką przysługę, do tego, nie mogę chorego męża pozostawiać samego. Nie wiem doprawdy, czy mogę, czy powinnam...

Markiza de Kermor powstała i położyła łagodnie rękę na ramieniu starej kobiety.

— Przedewszystkiem nie wspominajcie o tych stu frankach, to drobnostka wobec tego, co uczynić dla mnie możecie. Co zaś do waszego męża, to zaopiekuję się nim w czasie waszej nieobecności. Jestem przyzwyczajona do czuwania przy chorych — dodała ze smutnym uśmiechem — Syn mój powstał zaledwie z ciężkiej choroby. Widzicie więc, że nie potrzebujecie się niczego obawiać.

Kobieta stała niezdecydowana, nie wiedząc co czynić, gdy wtem głos jakiś zawołał z za parawanu, zakrywającego łóżka.

— Marto!

— Oh! Mój stary! Bogu dzięki, lepiej ci? Powiedz!

— Trochę. Posłuchaj Marto, słyszałem rozmowę twoją z tą panią.

— Ta pani chce...

— Wiem, wiem. Trzeba zrobić to, czego sobie życzy ta pani, albo nie... Damy jej adres, ale pod warunkiem, że nie wyda go nikomu, szczególnie swojemu synowi.

— Panie — odpowiedziała poważnie markiza de Kermor — zobowiązuję się uczynić to, czego pan żąda, daję na to słowo kobiety i matki.

Siwa głowa posługacza ukazała się w obramowaniu firanek; twarz miał czerwoną, rozgorączkowaną. Surowe i badawcze spojrzenie utkwił w twarzy markizy.

— Naprawdę, przysięga pani?

— Przysięgam.

— Dobrze. Niech pani zejdzie aż do kanału, po-

tem trzeba skręcić na lewo, szósty dom po prawej stronie.

Wyczerpany rozmową stary posługacz opadł z westchnieniem na poduszki.

— Powrócę jeszcze do was — przyrzekła pani de Kermor starej kobiecie, rozpływającej się w słowach wdzięczności. — A tymczasem przyślę wam mojego domowego lekarza.

Pożegnawszy serdecznie starego posługacza i jego żonę, markiza wyszła, spiesząc radośnie pod wskazany adres tak długo i bezowocnie poszukiwany. Na progu domu stała dozorczyni, tęga kobieta o sympatycznej, szczerej twarzy.

— Panna Janina le Brenn mieszka tutaj, nieprawdaż? — zapytała markiza.

— Na szóstem piętrze, drugie drzwi na prawo. Ale niema jej w tej chwili, proszę pani.

— Czy może mi pani powiedzieć, kiedy ją zastać można? O której godzinie?

— O której godzinie? Może chce pani wiedzieć, którego dnia?!

— Którego dnia? — powtórzyła zdziwiona markiza — Nie rozumiem pani.

— To przecież takie proste. Ta panienka powiedziała mi, schodząc raz ostatni, że wyjeżdża na miesiąc. Nie powróci więc przed tygodniem.

— Oh! Proszę, niech mi pani wytłumaczy, co znaczy ten wyjazd! — zawołała markiza, wsuwając dozorczyni w rękę złotą monetę — Tak pragnę usłyszeć coś o tej młodej dziewczynie.

— Z przyjemnością, proszę pani. Otóż pewnego ranka przyszła ta panienka do mnie z zapytaniem, czy nie mam pokoju do wynajęcia. Po umówieniu warunków sprowadziła się w godzinę później do tego domu. Odtąd wychodziła codziennie rano i powracała około północy. Nie bardzo mi się to podobało, ale oświadczyła mi, że zatrzymują ją tak późno w pracowni. Nie wiedziałam tylko, gdzie się znajduje ta pracownia, bo nawet raz, kiedy zachorowała i nie wychodziła z domu przez dwa dni, nie pozwoliła mi, bym tam dała znać. W parę dni po tej chorobie spakowała rzeczy i powiedziała mi, że wyjeżdża na miesiąc. Coraz bardziej byłam zdziwioną tem wszystkiem, ale tłumaczyłam sobie, że pewnie panienka ma gdzieś narzeczonego i jedzie do niego. Nie gniewałam się też, kiedy pokój mój opuściła, bo już lokatorzy zaczęli na nią zanadto uwagę zwracać, a nawet zauważyłam, że ilekroć wychodziła z domu, podejrzane jakieś figury kręciły się pod bramą i śledziły ją. Oto wszystkie objaśnienia, jakie pani dać mogę. Przyznaję, że nie mam bardzo dobrego wyobrażenia o tej młodej dziewczynie, bo zachowywała się w sposób dziwny, tak, jakgdyby przed kimś się kryć musiała. Nie chcę ja nikogo obmawiać, broń Boże, ale że tam było coś podejrzanego, to pewne.

Markiza de Kermor zamyślona i zaniepokojona powróciła dnia tego do siebie.

— Andrzej Delrue musiał rozmawiać z tą kobietą — myślała w swojej nieświadomości — i powtórzył Henrykowi niepochlebne wieści, jakie tu krążyły o Janinie. Stąd więc wypływa smutek Henryka i nagła chęć uczynienia Sydonii swoją żoną. Widzę teraz coraz jaśniej, że kieruje nim jedynie rozpacz i rozsądek, a przeciwko tej zgubnej dla niego ostateczności muszę całą energią przeciwdziałać. Tym sposobem markiza, która raz już weszła na drogę dociekań i posądzeń, przypomniała sobie różne fakta, które na razie uszły jej uwagi: widoczny smutek Janiny w ostatnich dniach jej pobytu w pałacu, jej niezwalczony upór i bronienie się przed zamieszkaniem na stałe na ulicy Beotic. Jasnem było, że młoda dziewczyna ukrywa jakąś tajemnicę.

— Jakże mogłam wcześniej tego nie zauważyć — myślała pani de Kermor — Janina chciała ukryć się przed nami w tej oddalonej dzielnicy, a kiedy i tu nie czuła się bezpieczną, musiała wyjechać do swego domku, który posiada jeszcze po rodzicach w Roche-Kermor. Niema wątpliwości, że biedne dziecko tam się schronić musiało. Dziś jeszcze depeszę wyślę do wójta i dowiem się całej prawdy.

Ale wójt z Roche-Kermor odpowiedział, że od wyjazdu swego do Paryża Janina le Brenn nie odwiedziła jeszcze swojej wioski rodzinnej.

Markizę więc dręczyć zaczęło zwątpienie i złe przeczucie.

Udała się nazajutrz do pokoju syna i podjęła raz jeszcze zawiązaną z nim rozmowę.

— Mój drogi Henryku! — rzekła, siadając przy łóżku, na którem spoczywał jeszcze. — Wybacz mi, że cię trudzę, ale jestem zmuszona pomówić z tobą wbrew twojej woli o Janinie le Brenn.

— Czy to konieczne? — bronił się niechętnie młody człowiek.

— Tak mi się zdaje. Chciałam ci zadać jedno pytanie. Udało się Andrzejowi odkryć miejsce zamieszkania Janiny i wyciągnąć na rozmowę dozorczynię domu, w którym mieszkała. Czy wiesz, że zniknęła po raz drugi i to w okolicznościach bardzo tajemniczych i niepokojących?

— Nie, nie wiedziałem o tem – odparł Henryk zmęczonym głosem.

— Henryku, proszę cię, czy to prawda? Ty może ukrywasz coś przedemną?

— Nie mamo, odpowiedziałem ci szczerze zupełnie. Ale widzę, że najlepiej zakończyć raz na zawsze tę całą historyę. Proszę cię tylko, abyś już nigdy nie wspominała Janiny le Brenn. Chciałem oszczędzić ci tej przykrości dotąd! Wiem, gdzie się ona znajduje i nie tylko ja, ale i Andrzej i wielu innych jeszcze, niestety!

— Ale czy możesz mi powiedzieć?...

— Nie, mamo, nie mogę ci powiedzieć, gdzie się znajduje Janina. Zawiele winienem ci szacunku. Nie powinnaś nigdy się o tem dowiedzieć. Błagam cię nawet, wykreśl ją ze swojej pamięci! Ta dziewczyna jest stracona, na zawsze stracona dla nas, zapamiętaj to sobie, proszę cię!...

— Czy Delrue i ty jesteście tak pewni tego, że ośmielacie się...

— Mamo, zaklinam cię, nie pytaj więcej! Mogłem nie wierzyć Andrzejowi, ale czyż moje własne, naoczne przekonanie nie wystarcza ci? Widziałem sam... tak, widziałem i obraz ten na całe życie zostanie wyryty w pamięci mojej!...

— Henryku, czyś jednak dobrze widział! Przypomnij sobie Janinę, przypomnij sobie jak kochaliśmy ją i cenili wszyscy!

— I pomyliliśmy się okrutnie. Ani słowa więcej o niej, mamo, błagam cię!

— Dobrze, skoro sobie tak tego życzysz, moje dziecko. Ale powiedz mi teraz — zapytała markiza, chcąc zmienić temat rozmowy — czy trwasz ciągle w zamiarze wyjechania do Biarritz?

— Odpowiem ci za dni kilka! — odpowiedział Henryk ze smutnym uśmiechem.

Miłość Sydonii.

Delrue, uspokojony już teraz cokolwiek, powrócił z podwojoną energią do rozpoczętej „pracy“, zużywając przy niej wszystkie niespożyte siły i spryt iście szatański. Potrafił jednak tę pożerającą go gorączkę pokryć sztuczną maską chłodu i obojętności, przywołując zawsze na twarz wobec rodziny markiza de Kermor uśmiech swobodny i grzeczny.

Wszystko już było gotowe do ostatecznego działania. Lecz przedtem jeszcze udał się do barona de Bressien, nie licząc się już z oficyalnemi poniedziałkowemi przyjęciami, czując się coraz bardziej panem sytuacyi.

Dzień ten miał być pamiętnym dla niego. Zniknęło bowiem zupełnie upokorzenie, obejmujące go za każdorazowem przestąpieniem progu mieszkania bankiera. Dziś nie kazano mu czekać w wielkim przedpokoju, rojącym się zazwyczaj od klientów różnego rodzaju, oczekujących pokornie na chwilę audyencyi. Bankier i jego córka przyjęli go w prywatnym swoim salonie, przeznaczonym jedynie dla pożądanych i poważnych gości.

Andrzej Delrue doznał olśnienia, wchodząc do tego pokoju, jaśniejącego niebywałym komfortem i dobrobytem. Na stolikach i etażerkach z drogiego drzewa, misternie inkrustowanego perłową masą, stały różne drogocenne cacka i figurki, mogące same przez się stanowić pokaźną fortunę. Na dużym stole, stojącym pod baldachimem olbrzymich palm i krzewów podzwrotnikowych, leżały porozrzucane w nieładzie liczne safianowe i złote pudełka, mieszczące wspaniałe kolie i bransolety wysadzane drogimi kamieniami, stosy cennych, pajęczych koronek, wachlarzy i haftów.

Były to podarki przedślubne panny Sydonii de Bressien, których układaniem właśnie zajmowała się sama przy pomocy rozpromienionego bankiera.

Silne uczucie dumy i nadziei wstrząsnęło Andrzejem Delrue, gdy stanął na progu salonu. Uczuł się nagle blizkim tak pożądanego celu, blizkim urzeczywistnienia wszystkich swoich ambitnych marzeń i pragnień.

Uśmiech zadowolenia i zarozumiałości przebiegł po jego twarzy.

— Gdyby nie ja — pomyślał — gdyby nie dobra wiadomość, którą przynoszę, cała radość i pewność tych ludzi runęłaby od jednego słowa, małżeństwo nie doszłoby do skutku wobec przeszkody, którejby nawet miliony tych ludzi nie zdołały usunąć bez mojej pomocy.

Lecz równocześnie z tą myślą zbudziła się w Andrzeju Delrue nienawiść i niechęć do ludzi lepiej przez los uprzywilejowanych od niego.

— Szczęście bywa niesprawiedliwe — myślał dalej — Nie zasłużenie obdarza ono swojemi łaskami barona de Bressien i jego córkę. Henryk de Kermor zaś należy więcej, niż ktokolwiek, do ludzi przez los wybranych. Czemże zasłużył sobie na kolosalną fortunę tego bankiera i miłość Sydonii? A on jeszcze daje się błagać, namawiać jakgdyby chodziło o rzecz małej wagi, pomimo, że sam obecnie jest nędzarzem większym odemnie. Gra rolę bohatera i ofiary, gdy szczęście samo idzie mu pokornie do ręki.

Baron de Bressien wstał na przyjęcie gościa i uprzejmie wyciągnął do niego rękę, obciążoną ko sztownymi pierścieniami.

— No, mój kochany! — zawołał z dobrodusznym uśmiechem — z czemże przychodzisz?

Sydonia na widok wchodzącego wspólnika porzuciła spiesznie zajęcie swoje i podbiegła do niego z zaniepokojoną twarzą.

— Jutro rozegra się akt ostatni — wyrzekł zimno Andrzej Delrue.

— Więc wszystko już gotowe?

— Wszystko, baronie, należy, nawet doktór Magnus.

— Oh! I on także należy do niezbędnych akcesoryów — zaśmiał się bankier.

— To nieuniknione.

W oczach bankierówny zabłysł promień tryumfu i radości.

— Jak ona go kocha — pomyślał zazdrośnie Andrzej — całe jej istota pochłonięta jest jedynie myślą o nim. I pomyśleć, że to panna, za którą ubiegali się dotąd bezskutecznie liczni posiadacze wspaniałych fortun i nazwisk. Dlaczego ja nie jestem tym wybranym, ja, który tak dobrze pojmuję jej naturę, ambicyę i żądzę użycia? Cobyśmy we dwoje zdziałać mogli, gdyby jej wybór był padł na mnie!

— A więc jutro hrabia de Kermor po raz pierwszy od swej choroby opuści pałac — wyrzekła Sydonia głosem nabrzmiałym tłumioną namiętnością — i to wyjście będzie jeszcze miało na celu Janinę le Brenn! Ale to nic! Nie mogę być o nią zazdrosną. Ale następnie do mnie należeć już będzie!

— Będzie to w każdym razie trzecie wyjście Henryka — zauważył Delrue.

— A zatem hrabia już wychodzi?

— Tak, proszę pani, i to wczoraj, aby udać się wraz ze mną do pałacu sprawiedliwości, dokąd nas zawezwano.

— Poco? — mruknął niespokojnie bankier.

— Po nic — podkreślił znacząco Delrue — chodziło o świadectwo w sprawie ulicy Entrepot.

— Czy wszystko dobrze się odbyło?

— Jak najlepiej. Ta sprawa już ukończoną.

— Ale inna jutro się rozpoczyna. Uzbrój się w ostrożność, mój przyjacielu.

— Ta inna również zakończy się dobrze. Pan nie potrzebuje się obawiać.

— Hrabia nie uznał za stosowne mnie odwiedzić — zauważyła z przekąsem bankierówna, patrząc gniewnie na sekretarza.

— Może nie chciał — zdobył się tenże na odpowiedź śmiałą.

Słowa te były dobrze wymierzone. Twarz Sydonii pobladła z wściekłości i upokorzonej dumy. W pierwszej chwili chciała wybuchnąć, lecz miłość jej dla narzeczonego okazała się silniejszą od urazy próżności.

— Niech i tak będzie — szepnęła po chwili spokojnie — Zamienimy rolę, skoro inaczej być nie może. Pójdę jutro lub dziś jeszcze odwiedzić go i pokazać mu, że jestem mniej dumna od niego.

— A jutro wieczorem — dodała nagle zmienionym, twardym głosem — oczekiwać będę pana, panie Delrue i liczę absolutnie na pomyślną wiadomość. Czy mnie pan rozumie?

Delrue w milczeniu skinął głową.

— Ja zaś — odezwał się swobodnie bankier — czekam cię, mój przyjacielu, pojutrze u siebie. I staraj się być punktualnym. Będzie to zapewnieniem wiecznego pokoju między nami, a zdaje mi się, że ci na nim zależeć powinno.

Po odejściu Andrzeja Delrue Sydonia całą siłą energii powstrzymywała się, aby nie uledz pierwszemu popędowi i nie wybiedz na ulicę i nie wskoczyć do pierwszego napotkanego automobilu, któryby mógł ją zawieźć na ulicę Beotic. Lecz na równi z Andrzejem Delrue umiała panować nad sobą i działać stosownie do nadarzających się okoliczności.

Przeczuwała, że podobny wybryk i wystąpienie przeciw formom światowym, mogło zrazić do niej markizę de Kermor.

Sydonia de Bressien przeistoczyła się więc w skromną, poważną narzeczoną. Zamieniła strój zbytkowny i kosztowny, na zwykłą, prostą suknię wizytową, kazała zaprządz do powozu i skupiona, nieśmiała, z niepewnością malującą się na twarzy, jak przyjętą zostanie, zjawiła się w buduarze markizy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ocalona świątynia.

W kilkotygodniowych zaciętych walkach nad Sanem znacznie ucierpiało miasto Leżajsk. Rosyanie morderczy ogień swej artyleryi skierowali na słynącą cudami świątynię w Leżajsku, a kilkadziesiąt pocisków trafiło w kościół i zabudowania klasztorne, szczęśliwym jednak trafem świątynia, oprócz uszkodzenia dachu, nie poniosła wielkiego zniszczenia, natomiast zabudowania klasztorne, szczególnie cele zakonników, zostały więcej uszkodzone. Zamieszczając w dzisiejszym numerze kilka zdjęć tej wspaniałej świątyni po zbombardowaniu, podajemy krótki jej opis:

Olbrzymi kościół wraz z klasztorem O. O. Bernadynów został zbudowany w latach 1618 do 1628 kosztem Łukasza Opalińskiego, marszałka koronnego i starosty leżajskiego. Kościół składa się z trzech równej długości naw, z których środkowa najszersza, wydłuża się w presbiteryum, zakończone półkolem, dwie boczne kończą się kaplicami. Ogromne arkady, cztery po każdej stronie, wsparte na silnych filarach, łączą te nawy ze sobą.

Imponujące wrażenie robi ołtarz wielki, filarami podzielony na trzy podłużne pola, z których największe, środkowe jest nie zabudowane, aby dawało efektowny widok na umieszczony w głębi na ścianie olbrzymi obraz Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny. Obraz ten jest dziełem słynnego artysty XVII. wieku w Polsce O. Franciszka Leksyckiego.

W kaplicy Matki Bożej Cudownej jest umieszczony obraz Najświętszej Maryi Panny Leżajskiej i liczne wota, pochodzące z kilku wieków.

Ozdobą tej wspaniałej świątyni są także największe w całej Polsce organy.



Z oswobodzonej Galicyi: Groby żołnierskie w Brzozie Królewskiej pod Leżajskiem.
(Fot. M. Gottmann).



Z walk alpejskich: W obozie.



Ocalona świątynia: Zabudowania klasztoru O. O. Bernardynów w Leżajsku uszkodzone granatem.
(Fot. M. Gottmann).

Występy Ferdynanda Feldmana w teatrze ludowym.

Ferdynand Feldman, znakomity artysta komedyowy sceny lwowskiej, rozpoczął gościnne występy w teatrze ludowym, prowadzonym obecnie z wielką zręcznością, smakiem i znajomością psychiki publiczności przez dra Tadeusza Konczyńskiego, wybitnego pisarza dramatycznego. Jemu zawdzięcza teatr ludowy, iż stanął na wyżynie takiej, na jakiej znajdować się powinien teatr popularny — teatr, który obok arcydzieł literatury powinien również wystawiać lekkie, wesołe i śpiewne rzeczy.

W krótkim przeciągu czasu, mimo ciężkich warunków materyalnych, z jakimi skutkiem zawieruchy wojennej musiał borykać się nowy kierownik, wywalczył pełne uznanie dla swego teatru wśród publiczności, a nawet wśród tych sfer, które dotychczas stroniły od sceny ludowej.

Znakomity gość, który obecnie występuje na scenie teatru ludowego, znalazł się bądź co bądź wśród repertuaru starannie w ubiegłych miesiącach przygotowanego. Dzięki temu mógł ukazać się Ferdynand Feldman jako nieporównany Ciaputkiewicz w „Grubych rybach“ M. Bałuckiego, następnie jako Napoleon w „Napoleonie i Pani Walewskiej“, sztuce W. Gąsiorowskiego i I. Nikorowicza, w której imponował wspaniałą maską i pełną realizmu grą. Trzecia kreacya znakomitego gościa w satyrze „Jak gubernator zrobił rewolucyę?“ („Taniec czynowników“) bawiła widzów plastyką przepysznej figury gubernatora rosyjskiego. Występ w „Domu otwartym“ rozśmieszał do łez widzów dzięki bajecznie śmiesznej postaci Fujarkiewicza, „skończonego farmaceuty“.

W niedzielę dnia 19. bieżącego miesiąca zgotował świetny artysta ogromną niespodziankę publiczności teatralnej, ukazując się w roli śpiewnej szewca Dratewki, a kupletami rozentuzyazmował publiczność. Był to wytworny pokłon wielkiego aktora złożony doskonałemu twórcy sztuk ludowych, Nestroy'owi. Rola Lenox'a, którą kreuje Ferdynand Feldmann w „Zonie urzędowej“, należy do najprzedniejszych figur, stworzonych przez znakomitego gościa.

Tak to dzięki występom Ferdynanda Feldmana, cieszącym się wielkiem powodzeniem, Kraków nie może skarżyć się na brak przednich wrażeń teatralnych. *nr.*



Występy Ferdynanda Feldmana w teatrze ludowym: Ferdynand Feldman w roli Napoleona.

Kronika tygodniowa.

Szanowna P. T. Publiczność, czytająca kroniki w *Nowościach Illustrowanych*, ani nawet nie przypuszcza, jak ja się dla niej poświęcam i ile cierpieć muszę z tego powodu. Trudno jednak, kto przyjął na się obowiązek, musi się starać o wypełnienie go, bodajby tak, by był i wilk syty i owca cała, to jest, aby obie strony były zadowolone, pisząca i czytająca. Pierwsza wolałaby nic nie pisać, druga chciałaby znowu dużo czytać za trzydzieści dwa halerze, trudno więc jedno z drugiem pogodzić.

Trzeba zaś wiedzieć, że z rozporządzenia zarządu drukarni musi biedny kronikarz zabrać się do swej niewdzięcznej pracy już w poniedziałek rano, gdyż w przeciwnym razie „numer się spóźni“. Poniedziałek zaś, który zazwyczaj następuje po niedzieli, to jest po dniu odpoczynku i próżniactwa, jest dniem z zasady feralnym, co zresztą potwierdzi nawet każdy szewc krakowski, obchodzący tradycyjny „blaumontag“.

Kronikarz, jako uczciwy człowiek, w niedzielę więc odpoczywa, to jest spędza czas w jakimś bezpiecznym odcinku, ponieważ zaś próżniactwo prowadzi często na pokuszenie, nic też dziwnego, że w poniedziałek głowa mu trochę cięży, na czem najgorzej wychodzi sama kronika.

Bo i jak tu pisać, gdy człowiek myśli o wczorajszych przygodach, które lubią się przypominać, a co chwila za plecami staje chłopiec z drukarni i woła:

— Proszę o skrypt, bo niema co składać!

Jeśli więc kiedykolwiek zostanę świętym i to męczennikiem, na konterfekcie mym umieszczą całą gromadę drukarzy, znęcających się nademną. A jestem pewny, że uzyskam palmę męczeńską i to tylko dzięki im!

Wobec tego więc w niedzielę staram się być o ile możności jak najporządniejszym, odmawiam sobie też wszelakich przyjemności, czyli, innemi mówiąc słowy, niedzielę, by uniknąć pokusy, spędzam na łonie rodziny, nawet nosa za drzwi nie wystawiając, by w poniedziałek z swobodną głową stanąć do pracy.

Wspominam o tem dlatego, iż właśnie w ubiegłą niedzielę cierpiałem bardzo z tego powodu, nie mogąc wziąć udziału w oddaniu ostatniej kawalerskiej posługi jednemu z mych przyjaciół politycznych, który, sprzykrzywszy sobie życie „solo“, wstąpił w „duet małżeński“ i na tę uroczystość także i mnie zaprosił. Ponieważ zaś wiem, czem to pachnie, boć kawalerski stan, składając głowę pod czepiec małżeński, żegna się zawsze bardzo solennie, wolałem odmówić sobie tej przyjemności, by wziąć udział w weselisku i zaraz z kościoła dałem nura do domowych pieleszy.

I proszę mi powiedzieć, czy zrobiłem źle? Zdaje mi się, że się nikt nie znajdzie, ktoby na mnie rzucił kamieniem potępienia, zwłaszcza, gdy się dowie, że przyjaciel mój tej operacyi poddał się właśnie w niedzielę, to jest w przeddzień zwykłego mego zasiadania do kronikarskiego warsztatu.

Żal mi było, co prawda, gdym łykał tylko ślinkę, a tam jedzono kuropatwy i indyki i dlatego mogę z ręką na sercu powiedzieć, że cierpię i to tylko ze względu na P. T. czytającą Publiczność, która wobec tego, jeśli chciałaby mnie kiedykolwiek widzieć na swem weselisku, niech pamięta o tem, by nie urządzać tego nigdy w niedzielę, bo to nie jest wcale na rękę panu kronikarzowi.

Jeśli zaś prawdę mam powiedzieć, na wesela chodzić nie lubię, już choćby tylko z tego powodu, iż przypomina mi to młode lata, gdym z moją Weronisią spadł trzy razy z ambony, a potem przed ołtarzem przysięgał, iż „nie opuszczę jej aż do samej śmierci“. Jak dotąd, dotrzymałem przyrzeczenia, wolałbym przecież, bym był jeszcze kawalerem, ciężkie bowiem nastały dziś czasy i łatwiej samemu w świecie dać sobie radę, niż w pięcioro!

Ale nie tylko żonaty od tego rodzaju uroczystości się usuwa. Znam także kawalerów, którzy za żadną cenę nie wzięliby udziału w weselnym obrzędzie, bojąc się, by przypadkiem sami nie nabrali ochoty do stanu małżeńskiego.

Słyszałem raz, jak jeden młody człowiek prosił drugiego na swój ślub i wesele. Ten tłumaczył się, że nie może, gdyż ma właśnie wtedy bardzo pilne zajęcie, ponieważ jednak przyjacielowi nie mógł odmówić, ostatecznie zgodził się, ale ze zastrzeżeniem.

— Dobrze! — mówił — Pójdę, ale pod tym warunkiem, że mi się nie zrewanżujesz...

Choć, prawdę mówiąc, stan małżeński nie jest tak zły, bo to człowiek ma obok siebie serce kochające (byleby, broń Boże, nie „bijące“), nie potrzebuje psuć sobie żołądka w restauracyi, gdyż to samo czeka go w domu, zwłaszcza, jeśli żona sama gotuje, ma z kim pogadać, jeśli połowica dopuści go do głosu najważniejsze zaś, ma opiekę w razie słabości. A na starość jest to dla każdego z nas koniecznem, nikt bowiem nie będzie chodził koło ciebie tak troskliwie, jak własna, rodzona żona, nie będzie ci robił okładów, smarowań i t. d.

Wprawdzie co kwadrans będzie ci wypominać, że to „wyłażą z ciebie łajdactwa młodości“, w każdym razie uczyni to ze serca, nie za pieniądze.

Każda róża ma kolce, ma je też i małżeństwo. Najboleśniejszym z nich jest naturalnie teściowa, mniej dotkliwymi przyjaciele domu, bez nich bowiem można się bardzo dobrze obejść. To zresztą zależy tylko od męża, by ich nie puścić pod swój dach.

Niech więc młodzi ludzie, o ile dotąd są jeszcze tak zwanymi „samożyjcami“, czyli kawalerami, pamiętają o tem, że, szczególniej w obecnych czasach, cięży na nich poważny obowiązek zakładania ognisk domowych i gorliwego w nie dmuchania. Wymaga tego od nich społeczeństwo.

Tyle jest panien, młodych i starych, że można wybierać. Ja sam, nie chwaląc się, mam w swej oranżeryi trzy kwiatuszki, które mi więdną, chętnie więc przyjąłbym ogrodnika, o ile zechciałby się zająć ich losem. Posagu na razie nie obiecuję, po najdłuższem przecież życiu może każdy z nich liczyć na spadek. Jednemu zapiszę kronikarskie pióro, za które każde muzeum zapłaci mu złotem, drugiemu parasol polityczny, na którego drutach odbierałem depesze polityczne, a i dla trzeciego też się znajdzie coś, bodajby tylko dobre słowo i błogosławieństwo, a i to dziś wiele znaczy.

Trzeba się jednak spieszyć, by się moje latorośle nie zestarzały zbytnio i nie przepoczwarczyły w sufrażystki, tych bowiem nie radziłbym nikomu pojmować za żony. Lepiej już dokończyć żywota w kawalerskim stanie, niż pchać zdrową głowę pod ewangelię.

Ani myślałem, że tak rozgadam się na ten temat, winien temu przecież mój polityczny przyjaciel, który się właśnie ożenił.

Tematem obecnej kroniki miało być „babie lato“, któremu, jak już wspominałem, wszystkie nasze pisma poświęciły gorące wzmianki w kronice. Ja miałem racyę, żem był powściągliwszy, pokazuje się bowiem, że to nie było „babie lato“, ale nasza zwykła piękna polska jesień, bo po jednym ciepłym dniu zmieniła się pogoda, zaczęło lać, jak z cebra, teraz zaś słońce wprawdzie świeci, ale nie grzeje. Boreasz dmucha zaś, jak po inne lata w listopadzie.

Powiadają meteorologowie, iż powodem jest przesunięcie granic państwowych daleko na północ. Ja tam w to nie wierzę, raczej przypuszczam, że przyczyny szukać należy w sprawie zniesienia moratoryum, o którem każdy, kto ma długi, mówi dziś i pisze.

A kto długów nie ma? Proszę mi pokazać takiego, gotów jestem obwozić go po całym kraju i pokazywać za pieniądze, a jestem pewnym, że zrobiłbym na tem wcale przyzwoity majątek i wówczas mógłbym się śmiać z całego moratoryum!

Będzie — nie będzie... na dwoje babka wróżyła! Ale tak, czy owak się stanie, wszystko nam jedno. Jeśli moratoryum przedłużą, nadal centa nikt ci nie pożyczy, bo, powiadają, moratoryum zabija kredyt, jeśli zaś zakończy się ono z dniem trzydziestego września, jeneralna klapa na całej linii! Nie pozostanie nic innego, jak, uciekając przed szponami wierzycieli i sprzymierzonych z nimi adwokatów, zgłosić się dobrowolnie do landszturmu. Żołnierzowi nic nie zrobisz, chyba po wojnie dopiero. Żaden strzał z kodeksu, nawet wekslowego, nic mu złego nie jest zrobić w stanie.

„Babiego lata“, tak ja twierdzę przynajmniej, dotąd więc nie było, moratoryum na razie jeszcze jest, w przyszłym miesiącu powinno z natury rzeczy być odwrotnie.

Koniecznym warunkiem „babiego lata“ są pajęczyny, latające w powietrzu, tych dotąd nie widziałem, choć umyślnie w tym celu wybrałem się raz na Błonia krakowskie, drugi raz zaś w okolice Bonarki. Być może, że pająki zastrejkowały i nie robią pajęczyny, choć znowu u mnie w domu można jak rok długi mówić o „babiem lecie“, bo pajęczyn znajdziesz dość w każdym kącie.

Gdym zaś z tego powodu zrobił egipską awanturę, kazała mi żona cicho siedzieć, gdyż, jak słusznie utrzymywała, pajęczyna jest konieczną w gospodarstwie domowem. Wraz z chlebem ugnieciona ma być znakomitym środkiem na zatamowanie krwi, gdy się kto urznie, ale nożem! Ja onegdaj urznąłem się w porządku (na pilznerze), pajęczyny przecież nie używano, natomiast dobrze mi zrobił śledź i syfon wody sodowej, którym poczciwa Weronisia o mały figiel nie rozbiła mi łepety!

A propos chleba, to wypada zaznaczyć, że w ubiegłym tygodniu przechodziliśmy czas tak zwanego „bezchlebia“, albowiem panowie piekarze powiedzieli, że brakło im mąki i nie mają z czego swych gniotków wypiekać. W chlebie jest zazwyczaj dużo mąki, a ta mi szkodzi, mało go też używam, nie poczułem więc braku, narzekali natomiast ci, którzy mają sporą liczbę dzieci, a te, jak wiadomo, chleb i bułki bardzo lubią.

Magistrat ulitował się nad nimi i postarał się o zapasy mąki żytniej, pszennej i mieszanej, na razie jest więc cicho, ale jak to długo będzie, tego nikt powiedzieć nie jest w stanie, zwłaszcza, że słyszałem od różnych ludzi, iż piekarze narzekają tylko z przyzwyczajenia, by od narzekania przypadkiem nie odwyknąć, bo każdy z nich ma obficie zaopatrzony magazyn.

To tylko najgorsze, że tego chleba niema za co kupować, choć on bardzo smaczny nie jest. Monety nam brakuje, to grunt, ale tem się człek pocieszа, że na tę samą słabość cierpią i inni. Rosya kołata o pożyczkę w Anglii i Francyi, Francuzi zaś i Anglicy umizgają się do neutralnej Ameryki.

Pan Wilson nie jest temu przeciwny, wie bowiem, że te pieniądze wrócą z powrotem do nich, jako zapłata za armaty, amunicyę i t. d., dług zaś długiem zostanie i po wojnie musi być z procentami zwrócony.

Pieniędzy potrzebuje każdy, gdyż wszystko już zdrożało i jeszcze coraz bardziej drożeje, kwartał się zbliża, moratoryum dyabli biorą...

Tylko niewiasty nie chcą o tem słyszeć, dla nich wszystko jest jeszcze po dawnemu, kiedy to obfity i smaczny obiad można było zjeść w pierwszorzędnym lokalu za siedm lub ośm szóstek.

Niedawno, będzie temu tydzień lub dwa, rozmawiałem w jednym lokalu z poważnym jegomościem, który właśnie się wybierał na obiad do domu. Był już na wychodnem, gdy wtem przybyła jego siostrzenica.

— A ty tu po co? — pyta mój towarzysz.

— Do wujcia! — odpowiada zagadnięta.

— Jakiż ważny interes, że aż tutaj mnie szukasz?

— Mama przysłała mnie do wujcia, aby powiedzieć, że dziś obiadu w domu nie będzie, bo Mateuszowa przyniosła śmierdzącą wątróbkę z miasta, a nie było potem czasu pójść odmienić, bo dziś wielkie pranie. Mama posyła guldena, aby wujcio zjadł sobie obiad w mieście!

To rzekłszy, wręczyła mu papierową dwukoronówkę, dygnęła z wdziękiem i ulotniła się jak kamfora.

Towarzysz wziął papierek w rękę, pokiwał głową i tak rzecze:

— Moja siostra jest poczciwą kobietą, że pamięta o mnie i chce mi oszczędzić fatygi, gdyż musiałbym wracać na obiad do miasta... Proszę mi jednak powiedzieć, co ja mam zjeść za guldena... Zamówię rosół, braknie na pieczeń, każę sobie podać pieczeń, nie wystarczy na rosół...

Urządziliśmy wojenną naradę. ostatecznie stanęło na tem, że zjadł kawałeczek ozora za piętnaście centów i wypił cztery bomby pilznera, wychodząc z założenia, że „taka kiszka nalana, jak i nadziana“.

Zagadki do nagrody.

Okienko.

Ułożył Z Szymanek, Nowy Sącz.

Podane litery uporządkować w ten sposób, aby utworzyły trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a a
a e e
e e e k k
k k n
n n r r r

Znaczenie wyrazów: 1 Zasłona. 2 Część dnia. 3 Rzeka w Niemczech

Równanie.

Ułożył Sz. Kiliński, Szenów.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć każdy tyle zgłosek, ile ich wykazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu nazwisko polskiej powieściopisarki, w drugiem tytuł jej utworu.

$$\frac{a}{2}+\frac{b}{2}+\frac{c}{2}=x.$$

$$\frac{d}{2}+\frac{e}{2}+\frac{f}{2}=y.$$

Znaczenie wyrazów: a) Zwierzę domowe. b) Kraj w Europie. c) Ubiór karnawałowy d) Przybór okrętowy. e) Gwałtowny opad. f) Zdrobniałe imię żeńskie.

Logogryf.

Ułożył Sz. Kiliński, Szenów.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy pierwszą literę imienia i nazwisko polskiego malarza.

□
— □ —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— □ —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Imię żeńskie. 3 Drzewo owocowe 4. Członek najbliższej rodziny. 5. Złoty pieniądz. 6. Ryba. 7. Miasto w Grecyi. 8. Imię męskie. 9 Imię żeńskie. 10. Wykrzyknik. 11 Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Jeż, kogut, pal, pienić, sieć, wrony, zez.

Trójkąt magiczny.

Ułożył Sz. Kiliński, Szenów.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko polskiego literata.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Starozakonny. 3. Imię żeńskie. 4 Współzawodniczka. 5 Czasomierze. 6 Zwierzę domowe. 7 Ruskie imię męskie. 8 Panujący. 9. Przyimek 10. Samogłoska.

Depesza.

Ułożył Sz. Kiliński, Szenów.

Z liter na depeszy ułożyć znane polskie przysłowie:

Lis! Łukasz zabity. Co robi żona? Na zdar!

L. Ż.

Łamigłówka.

Ułożył A. Adamczyk, Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą okrzyk, jaki rozlega się w szeregach armii sprzymierzonych.

I—n
—ga
i—a
N—l
a—e
o—a
l—s
l—s
O—a
m—r
—an
r—w
E—a

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Buda na pociąg, cuda, a jej syn, lilia, szyki.

Bilety wizytowe.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób.

URSYN TADI.

ROMAN T REIT.

TEKLA P. NEREG.

LEON E. N. P. PITT.

ATANAZY EMIL S TRYSTAN

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *A. Marylskiego:* **Dzieje sprawy żydowskiej w Polsce.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 37.

Logogryf:

S a n n a
A k a b a
k o z a k
p i ł k a
z ł o t o
I n d u s
w ó z e k
i b i s y
I r e n a
m a j k a
o b u c h
U ś c i e
l u z a k
K a a b a
s e p i a
f i k u s
k r a b y
j a g ł y
p u c h
M a r t a
k r e p a

Przysłowiówka: Kto grosza nie szanuje, ten nie wart szeląga.

Zadanie do przestawienia: W trzy dni gość i ryby śmierdzą.

Szarady: Fosa, Safo. Koks, skok. Rejtan.

Trójkąt magiczny:

K o p e r n i k
O r i n o k o
P a p u g a
E p o k a
R ó ż a
N i l
I ł
K

Zadanie do przestawienia: Wielkie rzeki cicho płyną.

Bilety wizytowe: Nożownik. Komisyoner. Rusznikarz. Cenzor wojenny. Markier bilardowy.

Łamigłówka:

oba	ryś
bek	rym
Ulm	oni
bił	beg
Inn	wał
bal	łzy

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, F. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice. K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała, S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, A. Gralewski Kraków, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor.-Ostrawa, S Grodzicki Praga, L. Kinalski Praga, S Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, M. Sawicka Lwów, Z Szymanek Nowy Sącz

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Topolnicki, Lwów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Komitet Polskiego Archiwum wojennego. Z powodu powołania do kraju przeważnej części członków Komitetu Polskiego Archiwum Wojennego okazało się koniecznem przenieść Zarząd jego do Lwowa Zbiory archiwalne oraz główna składnica materyałów pozostają nadal we Wiedniu, aż do czasu, kiedy będą mogły być przewiezione do miejsca przeznaczenia w Polsce, którego jednak przed końcem wojny przesądzać nie można. Opiekę nad zbiorami we Wiedniu, przeniesionemi do nowego lokalu przy Wallnerstr. 1a (mezz.), objął Komitet miejscowy, w skład którego weszli pp: radca dworu Łoziński, radca szkolny Resl i pułkownik Hajdecki.

Adres Zarządu: dr. Władysław Semkowicz, Lwów, ulica Zamojskiego 14 Wszelkie materyały i datki adresować należy: Komitet Polskiego Archiwum Wojennego (Polnisches Kriegsarchiv), Wiedeń, I Wallnerstr. 1a (mezz).

Kącik humorystyczny.

Z zadania pensyonarki.

...Bliźnięta są to takie stworzenia, które boją się same przychodzić na świat, więc szukają zawsze towarzystwa...

Wykręcił się.

— A gdybym tak stracił pieniądze, wyszłabyś za mnie?

— Naturalnie! Ja nie dbam wcale o pieniądze!

— Tak!?... To żegnam panią, bo ja nie chcę żony, która lekceważy monetę.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E Friedleina w Krakowie. pod zarządem Pawła Madejskiego